BIBLIOTEKA UMCS

SENSACJE Z PRZESZŁOŚCI

Rozmaite starożytne teksty stwierdzają ponad wszelką wątpliwość fakt wystąpienia na ziemi straszliwej masakry ludzkości. W sferze domysłów znajduje się jedynie, czy konflikt ów był wyłącznie ziemskiego pochodzenia, czy też brali w nim udział przybysze z kosmosu.

ATOMOWA WOJNA BOGÓW

Aleksander Mora str. 5

W anklecie „Kameny" wypowiada się prof. dr Jan Białostocki

str. 6

kamena

LUBLIN 30 III 1980 NR 7 (701) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

LIST W ZAŚWIATY

Szanowny Panie Wiktorze Ziółkowski!

W ZWIĄZKU z Pańskim milczeniem od dnia 28 lipca 1978 r. i Pańską nieobecnością w Lublinie czuję się zobowiązany przypomnieć Panu, iż powyższa absencja nie może być usprawiedliwiona z urzędowego punktu widzenia, nawet biorąc pod uwagę okoliczność Pańskiej śmierci w wyżej podanym dniu. A to dlatego, że brak z Pańskiej strony jakiegokolwiek zrozumienia dla odpowiedzialnej działalności placówek, dzierżących prym w życiu kulturalnym miasta Lublina, spowodował, iż odejście Pana przyczyniło im znacznych kłopotów i strat zarówno w sferze moralnej, jak i materialnej.

Wiąże się to bezpośrednio z zabezpieczeniem Pańskich zbiorów, które gromadził Pan przez kilkadziesiąt lat Swego życia. Zbiory te, jak Panu wiadomo, dotyczą w głównej mierze historii życia artystycznego naszego miasta i zawierają różnego rodzaju pamiątki i dokumenty, od plakatów teatralnych z lat 20-tych naszego wieku poprzez katalogi wystaw plastycznych dawnych i współczesnych, w kraju i za granicą, wydawnictw poświęconych sztuce, obecnie unikalnych i trudnych do odnalezienia w archiwach bibliotek i muzeów. Nie sposób oszacować już teraz wartości Pańskiego zbioru, w którym są też starodruki, mnóstwo korespondencji z przedstawicielami życia artystycznego, precyzyjne notatki dotyczące najrozmaitszych jego przejawów, wycinki prasowe, gazety, szkice, akwarele, płótna, drzeworyty, ekslibrisy, fotografie artystyczne, bezcenna kolekcja grafiki bodaj z

Dokończenie na str. 8—9

Fot. W. Stępień

Pogodnych Świąt!

Dawid Samojłow

* * *

Naszą ręką kto poruszał,
Kiedy kładły się na kartce
Na wpół zapomniane słowa?
Kto odebrał spokój duszy,
Gdy od myśli jak po ćwiartce
Zatoczyła się nam głowa?
Kto w parowie strumień zbudził,
W którym ledwie szemrze woda
I odwagi kto mu dodał,
By się rzeką stał i ruszył?...

Tłum. Bohdan Zadura

(Dalsze wiersze Dawida Samojłowa na str. 6).

Dalsza część stołu

PRO DOMO SUA

Mirosław Derecki

WIELKANOC wypadła w 1958 roku podobnie jak tegoroczna, na początku kwietnia i redakcja „Kameny", wzorem innych gazet, wydała specjalny świąteczny numer. Był to kolejny, szósty numer „Kameny" z tego roku, a sto czterdziesty ósmy od chwili powstania pisma, które właśnie zbliżało się do obchodów ćwierćwiecza swojego istnienia.

Ten świąteczny numer nosił datę 1 kwietnia. Na pierwszej stronie reprodukowano duże zdjęcie J. Tymińskiego ukazujące panoramę lubelskiego Starego Miasta widzianą poprzez arkadę dzwonnicy kościoła św. Mikołaja na Czwartku. Na horyzoncie rysowała się łamana linia dachów staromiejskich, zwieńczona ostrymi sylwetkami Bramy Trynitarskiej i wież katedralnych, w dole na pierwszym planie, widać było Plac Zebrań Ludowych, rozciągający się u stóp Zamku, otoczony półkoliście wznoszonymi właśnie budynkami mieszkalnymi, „lubelskiego Marienszstadtu". Musiano wyciągnąć to zdjęcie zapewne z jakichś zakamarków redakcyjnego archiwum; Podzamcze stało już przecież pod dachem od kilku lat i autorzy pisujący do „Kameny" zdążyli wypić od tego czasu niejeden kieliszek w podzamkowej restauracji „Stylowa", ale nikt z redaktorów nie zwró-

Dokończenie na str. 10

z notatnika

13 III. Wczoraj, w przeddzień 35-lecia „Sztandaru Ludu" — podniosła uroczystość w Sali Kolumnowej Urzędu Wojewódzkiego: przewodniczący WRN, I sekretarz KW PZPR w Lublinie, Władysław Kruk, dekoruje sztandar gazety Orderem Sztandaru Pracy II klasy. To wysokie odznaczenie przyznała Rada Państwa w lipcu ub. r.

Z okazji jubileuszu czwórka dziennikarzy otrzymuje Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski (Anna Mańkowska, Henryk Kwiatkowski, Bogumił Mikulski i Włodzimierz Wójcikowski), ponadto wielu zasłużonych — Złote, Srebrne i Brązowe Krzyże Zasługi, a także odznaczenia resortowe — „Za zasługi dla RSW P-K-R".

O 17-ej okolicznościowy koncert w Hali Sportowej. Sala zapełniona do ostatniego miejsca: gazeta ma wiernych czytelników w czterech wschodnich województwach. Największe brawa otrzymuje Wiesław Gołas i Jan Kobuszewski. Monolog o zagubionym rozumie w wykonaniu Kobuszewskiego słyszałem już kilkanaście lat temu w czasie jakiejś imprezy w Szczecinie. Można powiedzieć, że dobry tekst nigdy się nie starzeje. Ale można też powiedzieć inaczej... Rzęsiste oklaski nie skłoniły mistrzów naszej sceny do bisowania...

Wieczorem towarzyski wieczór w uniwersyteckim Dworku Kościuszki. Przybyli również goście z zaprzyjaźnionych ze „Sztandarem Ludu" redakcji: „Radiańskiej Wołyni" w Łucku, „Zarii" w Brześciu i „Das Volk" w Erfurcie. Atmosfera bardzo swobodna; panie: Lucyna, Eugenia, Krystyna, Regina i Bożena z Dworku dbają, by talerze (i nie tylko talerze) nie stały puste. Nie brak, jak zwykle przy jubileuszu, wspomnień, zwłaszcza, że są również byli dziennikarze „Sztandaru", którzy mają swój wkład w redagowaniu pisma przed laty: Włodzimierz Chećko, Roman Łoziński czy niżej podpisany. Przypominam dziesięciolecie „Sztandaru Ludu" — akademię w Teatrze z udziałem Jerzego Putramenta, który na gorąco dzielił się swymi wrażeniami ze Stanów Zjednoczonych. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas, że coca-cola, tak przez nas ośmieszana, wcale nie jest takim złym napojem... To były czasy! Niedawne: sprzed... świerćwieczal

14 III. Wstrząsająca wieść z Warszawy. Ił-62, odrzutowy samolot pasażerski PLL „Lot", rozbił się podchodząc do lądowania na lotnisku Okęcie. Zginęło 77 pasażerów i 10 członków załogi. Wśród ofiar 28 obywateli USA (22 członków amerykańskiej reprezentacji bokserskiej), czterech obywateli ZSRR i trzech NRD.

Tyle zanotowałem w piątek wieczorem. Uzupełniam dzisiaj, 22 marca, po lekturze czasopism i dzienników.

„PRZEGLĄD SPORTOWY" z 17 marca: *Katastrofy lotnicze pochłonęły już wiele ofiar wśród sportowców. W latach czterdziestych tuż przed lądowaniem zginęła cała drużyna piłkarska Torino, wiele ofiar pociągnęła za sobą katastrofa samolotu, która zdarzyła się w Monachium. Zginęło w niej wielu czołowych piłkarzy Manchester Utd. Część się jednak uratowała. Zginęli bez wieści wybitni hokeiści Czechosłowacji odbywający podróż nad Atlantykiem, zginęli łyżwiarze i łyżwiarki Stanów Zjednoczonych udający się do Europy na mistrzostwa świata, zginęło podczas lotu z Sofii kilku młodych i utalentowanych polskich kolarzy...*

„POLITYKA" z 22 marca: *Można mówić o szczęściu w warunkach tak wielkiego nieszczęścia. Poza załogą i pasażerami nikt więcej nie zginął. Na 168 miejsc, 91 było wolnych. Samolot runął w mieście, ale w jego niezurbanizowanej części. Tuż niedaleko osiedle Rakowiec, zabudowania mieszkalne Okęcia, ruchliwa ulica. Samolot swoje nieszczęśliwe pikowanie zakończył na zamkniętym terenie, w rejonie pustych fortów i w okalającej je fosie. Ludziom będącym w barakach nic się nie stało. Czy to przypadek, czy ostatnia świadoma decyzja kapitana? Nikt nigdy się nie dowie. [...] Stała załoga kpt. Pawła Lipowczana, czterdziestolatka, pracującego w LOT od ponad 15 lat, była doświadczona, długoletni piloci, świetnie wyszkoleni. Wszyscy po wielu lotach przez Atlantyk. Tadeusz Łochocki, drugi pilot, pracował w LOT o rok krócej niż kapitan, radiotelegrafista Stefan Wąsiewicz od 1951 r., najkrócej z męskiej części załogi, od 1973 r. Mechanik pokładowy Jan Łubniewski od 1966 r. Szefowa pokładu stewardesa Alicja Duryasz pracowała w firmie od 1963 r., Krystyna Krawczyk od 1977 r. (tylko ona z załogi nie osierociła dzieci). Elżbieta Grabowska od 1971 r. [...], Alicja Mormol-Dudley od 1975 r., Joanna Podstolska od 1963 r.*

Na trasach atlantyckich latają sprawdzeni i doświadczeni piloci, mechanicy, radiotelegrafiści i stewardesy. Fachowcy, którzy przez lata sumowali doświadczenia. [...] Piloci badani są przed każdym startem. Załoga przechodzi pełne przeszkolenie na wypadek awarii czy jakiegoś wydarzenia na pokładzie. [...] Niezależnie od odczuć bezpieczeństwo lotów jest 20-krotnie wyższe niż bezpieczeństwo podróży samochodem. [...]Ginie mniej niż jedna osoba na milion przewiezionych, a specjaliści twierdzą, że osiągnie się bezpieczeństwo 1:10 000 000. [...] Ludzie cenią czas. Pokrzyżować plany lotnictwa mogą tylko kłopoty z ropą. LOT dysponuje 45 samolotami. Regularne linie obsługuje 30 maszyn. Trasę atlantycką — dotychczas osiem Ił-62. Nasze towarzystwo cieszy się dobrą opinią. W okresie powojennym miała miejsce jedna duża, według kryteriów międzynarodowych, katastrofa. Pod Zawoją w 1969 r. rozbił się AN-24. Zginęło 58 osób. W 1962 r. na Okęciu rozbił się Viscount LOT-u z 28 pasażerami i 5 osobami załogi. O zaufaniu do LOT-u świadczą również częste loty polskimi samolotami Polonii amerykańskiej, która mając do wyboru różne towarzystwa obstawia LOT, zapewne nie tylko przez sentyment. [...] Ustalenie przyczyn wypadku jest bardzo trudne, często nie można po zbadaniu dostępnego materiału, uzyskać jednoznacznej odpowiedzi. Analiza jest znacznie utrudniona gdyż nie ma świadków — uczestników wydarzenia. [...] Polskie samoloty ubezpieczone są w Lloyda w Londynie. W Polsce jego przedstawicielem jest „Warta".

„PRAWO I ŻYCIE" (datowane 23 marca): *Następnego dnia po katastrofie pod dyrekcyjne biuro zajeżdżają samochody już od wczesnego rana. Do dziesiątej przed południem na drugim piętrze radcowie prawni przyjęli kilkanaście osób z rodzin, których najbliżsi zginęli. Starają się, aby nikt nie czekał, robią wszystko, aby smutna procedura trwała jak najkrócej.*

Przed biurkiem siedzą dwie kobiety. Jedna z nich milczy przez cały czas. Widać, z jakim wysiłkiem stara się opanować drżenie ust, ciągle napływające do oczu łzy. To żona. Siostra zmarłego jest bardziej opanowana. Przejęła inicjatywę, ktoś m u s i formalności załatwić. Podaje niezbędne dane, zadaje pytania. Kiedy będzie można odebrać ciało, gdzie? Radca prawny ma wieloletni staż pracy w prokuraturze. Bywał nieraz w trudnych sytuacjach, jednakże dzisiejszy dzień zalicza do najcięższych w swojej dotychczasowej praktyce. Taka skomasowana ludzka tragedia przytłoczy najbardziej odpornego.

Cały czas dzwonią telefony. [...] Telefonują rodziny ofiar, także ludzie obcy, a ciekawi. Najwięcej telefonów z pytaniem: czy nazwisko na liście ofiar jest nazwiskiem popularnej piosenkarki. Czy pytający zdają sobie sprawę, że zaspakajając ciekawość, blokują tych, którzy m u s z ą zatelefonować pod ten numer?

Tak, wśród ofiar jest rzeczywiście Anna Jantar. Na razie jedyne wspomnienie o niej znajduję na łamach „Kuriera Lubelskiego" z 22 marca: Znakomita wokalistka darzyło Lublin szczególną sympatią. Tutaj w rozgłośni PR narodziło się kilka jej przebojów nagranych w towarzystwie Budki Suflera i tutaj zamierzała dokończyć nagrań do kolejnego albumu.

Cóż można dodać od siebie? Zastanawialiśmy się w redakcji, czy nie delegować kogoś do Warszawy... „Kamena", będąca dwutygodnikiem, ukazałaby się jednak pięć, sześć dni po tygodnikach centralnych. Poza „Polityką" i „Prawem i Życiem" relacje z katastrofy zamieściła „Literatura", „Życie Literackie", „Kultura". Tekst z „Kultury" przedrukował „Sztandar Ludu", więc nie cytuję.

Mówi się: katastrofy samolotowe muszą się zdarzać. A ilu ludzi ginie codziennie na szosach? Pilot T. Hendzel (z trzydziestoletnim stażem) powiedział dziennikarzom „Polityki": *Cała moja rodzina lata, syn jest pilotem, mamy w rodzinie stewardesę. Nadal uważam, że komunikacja lotnicza należy do najbezpieczniejszych w porównaniu z innymi. [...] Co jest najniebezpieczniejsze? Wyjazd maluchem w zimie do Szczyrku...*

Leciałem kiedyś, bodaj na początku lat sześćdziesiątych, samolotem (nie LOT-u) z Budapesztu do Warszawy. W stolicy wysiadłem, maszyna wystartowała w dalszą podróż, bodaj do Sztokholmu. Do celu nie dotarła. Wszyscy zginęli. Mam prawo czuć uraz do podniebnych podróży, a jednak od czasu do czasu korzystam z tego środka lokomocji, chociaż za nim nie przepadam.

A znów kilka lat temu jechałem syrenką ze zmarłym półtora roku temu Jurkiem Dostatnim. Jurek prowadził. Stanęliśmy pod Firlejem. Dzień był pochmurny, Jurek chciał przetrzeć szyby. I nagle na prawo od nas, po poboczu, przetoczyła się ciężarówka z przyczepą, lekko ocierając się o maskę syreny. Kierowca zauważył nasz samochód w ostatniej chwili. Rozpędzony, nie mógł prawidłowo ominąć, bo naprzeciw jechał inny wóz. Skończyło się szczęśliwie, a przecież trudno oczekiwać, abyśmy z ewentualnej kolizji wyszli cało. A jak zareagowałem? Zdobyłem prawo jazdy i sam jeżdżę. I sam za siebie odpowiadam.

20 III. W Białej Podlaskiej posiedzenie komitetu, powołanego w związku z organizowanym w tym województwie w czerwcu bieżącego roku Świętem Prasy (regionalnej). W Białej Podlaskiej i w Zamościu powstały tygodniki, dlatego też coroczne Święto „Sztandaru Ludu" nieco zmienia swój charakter, przekształcając się w Święto Prasy. Na razie założenia wstępne, ukonstytuowanie się odpowiednich komisji. Przewiduje się, że w okresie maj—czerwiec 1980 r. odbędzie się w województwie bialskopodlaskim około 60 spotkań z dziennikarzami „Sztandaru Ludu", „Kuriera Lubelskiego", „Słowa Podlasia" i „Kameny" — w różnych środowiskach społeczno-zawodowych. W planie — organizacja koncertu w amfiteatrze i wiele imprez towarzyszących, wśród nich koncert orkiestr dętych, wystawa sprzętu turystycznego, kiermasz folkloru, pokaz modeli latających, festyny, turnieje zakładów pracy itd., itp.

Uczestnicy posiedzenie wskazują na konieczność oszczędności środków, a także na rozwijanie takiej działalności, która wniesie trwały wkład w kierunku aktywizacji różnych grup społeczno-zawodowych na rzecz rozwoju swego środowiska.

„Kamena" ze swej strony — poza udziałem w spotkaniach jej dziennikarzy — może zadeklarować przygotowanie odpowiednich tekstów związanych z życiem kulturalnym woj. bialskopodlaskiego.

23 III. Wybory do Sejmu i rad narodowych. Oddaję swój głos w lokalu Obwodowej Komisji Wyborczej nr 97. Wśród kandydatów na posłów bardzo znajome nazwiska — Władysława Kruka, Pawła Dąbka, Stanisław Rostworowskiego... Staszek przed rokiem miał paskudny wypadek samochodowy w Warszawie, ale ,jak się dowiaduję, już wreszcie chodzi. (Przy okazji, Staszku, życzenia szybkiego powrotu do zdrowia!).

Przed wyborami „Życie Literackie" zamieściło wypowiedzi kilku kandydatów na posłów, reprezentujących świat kultury. Oto, co powiedział Gustaw Holoubek: *...Mamy niepomiernie rozbudowane instytucje kulturalne, są na ich działalność określone sumy, towarzyszy nam na co dzień rozwój kultury, ma ona coraz szersze oddziaływanie, zachowana jest w polityce państwa tolerancja wobec koncepcji artystycznych twórców, szczycimy się osiągnięciami w niektórych chociażby dziedzinach twórczości, takich jak muzyka, plastyka, teatr, a z drugiej strony następuje degradacja kulturalna społeczeństwa. Zaczyna nas otaczać coraz więcej chamstwa: w urzędach, na ulicy, w restauracji, na sportowym boisku. Gdzie szukać źródeł schorzenia? A może przyszła komisja (kultury i sztuki) podjęłaby trud przeanalizowania tej sprawy, a nawet, kto wie, może mogłaby zasugerować jakieś działanie, które powstrzymałoby regres, jaki daje się zaobserwować w ludzkich zachowaniach, i degradację kulturalną społeczeństwa?*

Myślę, że temat wart jest podjęcia.

Marek A. Jaworski

SZPALTA O SPORCIE

Komentuje Mieczysław Nowak

OSTATNIĄ rozmowę z trenerem II-ligowego Motoru, Bronisławem Waligórą, przeprowadziłem w pierwszych dniach stycznia tego roku, kiedy to jego podopieczni rozpoczęli przygotowania do rewanżowej rundy mistrzowskiej. Od tego czasu minęły już dwa miesiące, a jedenastka FSC przeszła dwie pierwsze, jakże ważne, próby w realizacji głównego celu — awansu do ekstraklasy.

Inauguracja rundy wiosennej w Lublinie przyniosła sensację dużego kalibru. Krakowski Hutnik, który pierwszą połowę przegrywał 0:3, zremisował 3:3 i z powodzeniem mógł pozbawić lidera dwóch punktów. Warto przy tej okazji zwrócić uwagę na to, że żadnej z drużyn II grupy w sezonie 1979 nie udało się strzelić Motorowi w jednym meczu aż trzech goli. Ten niespodziewany „wypadek przy pracy" poddany został gruntownej analizie, a trener Waligóra przeprowadził męską rozmowę z piłkarzami, którzy jakby zapomnieli o tym, że mecz trwa 90, a nie 45 minut. Rozmowy te, jak widać, odniosły pożądany skutek, bowiem w ostatnią sobotę piłkarze FSC przywieźli dwa punkty z Jastrzębia zwyciężając zawsze u siebie groźnego Górnika 1:0.

Najgroźniejszy rywal Motoru — warszawska Gwardia straciła dwa punkty przegrywając z zagrożoną spadkiem Concordią Piotrków 0:1. Obecnie zespół FSC ma 8 punktów przewagi nad Gwardią. Byłego 1-ligowca Warszawy czeka jednak jeszcze jeden zaległy mecz ze świdnicką Avią. W Gwardii nadal z wiadomych powodów nie występuje Antoni Szymanowski, etatowy obrońca naszej reprezentacji.

W najbliższą niedzielę Motor podejmie w derbowym pojedynku świdnicką Avię, która już zdążyła przegrać u siebie 0:2 z Radomiakiem. Piłkarzom Świdnika trudno będzie na stadionie przy Kresowej, który z trudem mieści dziś kibiców, zdobyć choćby jeden punkt. W rundzie jesiennej świdniczanie przez cztery pierwsze kolejki mistrzowskie nie zdobyli ani jednego punktu, by później przez 10 następnych nie przegrać żadnego meczu. Ale czy historia musi się powtórzyć również w rundzie wiosennej?

W I lidze kilka zaskakujących rozstrzygnięć. Mielecka Stal z Latą i Szarmachem przegrała na własnym boisku z Widzewem Łódź. W drużynie łódzkiej występuje ekslublinianin Władysław Żmuda, który na początku stycznia przeniósł się z Wrocławia do Łodzi. Niektórzy kibice dowodzą, że Władysław Żmuda w ten sposób skraca sobie drogę do... Lublina.

Coraz lepiej poczyna sobie Górnik Zabrze, który groźną na własnym boisku Arkę zwyciężył 1:0 i wysunął się na trzecią pozycję w tabeli. Stawce przewodzą Szombierki Bytom przed Śląskiem Wrocław.

Od zwycięstwa do zwycięstwa kroczą piłkarze poznańskiego Lecha. W ostatnim meczu pokonali GKS Katowice 1:0. Piłkarzom z Poznania jesienią wiodło się w lidze wyjątkowo źle. Obecnie zespół ten prowadzi Wojciech Łazarek. Jest to podobno najbardziej kontrowersyjna postać w naszym światku trenerskim. Kontrowersyjna może dlatego, ponieważ Łazarek lepiej zna się na piłce niż ci, od których uzależniona jest wysokość jego trenerskiej pensji...

Prasa sportowa, i nie tylko, puściła trochę „farby" na temat wyczynów celno-dewizowych niektórych naszych piłkarzy, którzy w lutym przebywali w Maroku i Iraku. Należy się domyślać, że nie były to aż tak wielkie przestępstwa, gdyż trener Kulesza ponownie powołał ich na spotkania naszej kadry narodowej, które będą rozgrywane w kraju.

Fot. W. Stępień

W domu trzech kobiet

LUBIĘ przebywać w domu trzech kobiet na Ponikwodzie, na przedmieściu Lublina, bo przyciąga mnie tam historia. Przywoływane są dawne epoki i najbliższe, które przeobraziły nasz kraj, odmieniły Europę. A wszystko to przenika nie przez heroiczne opowieści, ale zwykłe, kobiece wspomnienia z okresu, kiedy każda z trzech pań wiodła własne dorosłe życie, gdy oddalało się dzieciństwo, a nadchodziły lata jesienne... W domu na wzgórku otoczonym uprawnymi polami, jakby to nie w Lublinie, ale gdzieś dalej od dużego miasta się działo, panuje spokój i pogoda.

Właścicielka domu, Wacława Masiakowa, na kolejną moją wizytę wyznaczyła poranek niedzielny. Inaczej on się jednak jawi u mnie, inaczej u siedemdziesięciopięcioletnich kobiet i ich matki. Dziesiąta okazała się za wczesna, więc posadzony za stołem mogę obserwować pośniadaniową krzątaninę pani Wacławy i jej bratowej, Feliksy Tyszkiewiczowej. Słyszę, jak informują babciunię, że znowu przyszedł ten sam pan, co przed tygodniem i chce z nią porozmawiać. Zostaję wkrótce zaproszony do pokoju, który już znam; jestem rozpoznany, instalowanie magnetofonu wcale więc pani, którą tu wszyscy nazywają babcią i babciunią, nie niepokoi. Przywykła już do mnie. Rozmawiamy, a w sąsiednich pokojach, w kuchni, wokół nas i na podwórku życie toczy się dalej.

Franciszka Tyszkiewiczowa mówi słabym głosem, ale nie jednym tonem. Emocje są słyszalne. Jest bardzo starym człowiekiem, najstarszym w Lublinie, a może i na Lubelszczyźnie: 16 sierpnia skończy 106 lat. Postać ma teraz drobną, kruchą, ale zawsze tak nie było. Dłonie, kiedyś zwinne i spracowane, od lat nie muszą się trudzić, zdają się być z powodu wieku i odpoczynku jakby przejrzyste. Studium tych dłoni to piękny temat dla fotografika. Nie muszą pracy przyjmować, bo otacza panią Franciszkę miłość i pomoc mieszkających z nią w tym domu osób, to widać, to się wyczuwa. Ręce Franciszki Tyszkiewiczowej głodne są pracy, zwykłej, ludzkiej przydatności. Opowiadają mi córka i synowa, potwierdza ona sama, że choćby ukradkiem, skrywając się przed nimi, biegnie nie raz nie dwa do łazienki, żeby przeprać chusteczki. Jest po takim czynie triumfująca, dumna.

Urodziła się w Działyniu, pod Radzyniem Podlaskim, 16 sierpnia 1874 roku, a więc 10 lat po powstaniu styczniowym, którego echa, ba, nawet listopadowego i Wiosny Ludów, wciąż do niej dochodziły, bo w rodzinie Szczerbińskich, z której się wywodzi, tradycje walk niepodległościowych były silne i miały odwołania prawdziwe. Tyszkiewiczowie także dopisali swoje. Obie rodziny były zubożałe, rodzice Frani zupełnie już zbiednieli i pracowali w folwarku, a sześcioletnia ich córeczka musiała odejść z domu, by bawić dzieci u dalekich krewnych, którym wiodło się dobrze. A potem? Potem także trzeba było robić, u dziedzica w Królewskim Dworze.

— Myśmy chodzili żąć. Sto ludzi żęło żyto. Żniemy, parobcy wiążą, snopy stawiają. Dwory! A teraz dworów nie ma. Już ludzie tam są, gospodarze. Lepiej jest im teraz. Nie tak, jak kiedyś, bo kiedyś dwory zabierały wszystko. Pan zabrał, ekonom, rządca, a ludzie pracowali im darmo. Żyli, pracowali, pamięta się. A teraz? Jest lepiej, ooo! Już nie wiem, czy będzie lepiej. Ludziom dobrze jest. Teraz dzieci się uczą, nie są głodne, boso nie chodzą, zabawki mają, sukienki, żyją ludzie, żyją.

Wchodzi wdowa po synu mojej rozmówczyni, Pawle, pani Feliksa. Jej świekra dzieli swoje śniadanie, zjada je w pewnych odstępach czasu, za to często popija małymi łykami herbatę, która stale obok jej fotela na stoliku dyżuruje. Kawałek paryskiej bułki z masłem, łyżka białego sera. Po godzinie to się powtórzy, pani Franciszka nie chce przeciążać żołądka. Tak jej radzą lekarze i wnuk Marek, lekarz jakby domowy, bo co tydzień wpada tu na dwa, choćby i na jeden dzień. Spraktykowała ona oraz obie współmieszkanki, że tak najlepiej, najpewniej dla zdrowia. Znowu wracamy do wspomnień.

Kończył się wiek XIX, a zaczynał obecny, panna Frania skończyła 26 lat, wyszła za mąż za wdowca, gajowego i opuściła służbę u obcych. Od razu miała dwie córeczki: Frankę kilkumiesięczną i trzyletnią Gienię. Potem przyszło dziewięcioro własnych, z których sześcioro osiągnęło wiek dorosły. Najstarszy Paweł, właśnie mąż Feliksy, zginął pod Chełmem we wrześniu 1939 roku, a najmłodsza Janina za konspirację została uwięziona na lubelskim Zamku i w rok po zgonie brata skazana na śmierć. W Irenie, gdzie była nauczycielką i podharcmistrzynią, drużyna ZHP nosi jej imię, a w Dęblinie nawet szkoła. Aż trzy córki Tyszkiewiczowie wykierowali między obu wojnami na nauczycielki. Po odzyskaniu niepodległości pedagogów brakowało najbardziej, dlatego też dostępność edukacji nauczycielskiej była największa, nawet dla tych rodzin, którym wiodło się nie najlepiej. Tu największy wpływ na przyszłość córek miała pani Franciszka — gorąco potwierdza Wacława Masiakowa. Pani Franciszka zaznała niedogodności niepisania i nieczytania, więc do dziś przedkłada wartość nauki nad inne osiągnięcia. Często mawia, gdy porównuje dawne czasy z obecnymi: „teraz, teraz dzieci się uczą!" Dlatego Wacława, Urszula i Janina były nauczycielkami.

Franciszek Tyszkiewicz w tym współdziałał, on właśnie wykonał wspólne postanowienia, woził i umieszczał córki w szkołach. Masiakowa wspomina m.in., jak to w ich domu, w Plebanii Woli, gdzie tata był gajowym w okolicznych państwowych lasach, odbywało się tajne, polskie nauczanie dla dzieci kilku wtajemniczonych rodzin, jak to ją później umieścił w tzw. preparandzie w Leśnej pod Białą Podlaską, aby się przygotować mogła do seminarium w Salinie, ale nie starczyło środków, więc umieścił ją w Chełmie u słynnej Jadwigi Młodowskiej, bo u niej przygotowywano nauczycielki niezwykle tanio, a dobrze, wszczepiano równocześnie w absolwentki „społecznikowskie" nastawienie do pracy w przyszłym środowisku, najczęściej wiejskim.

Wacława Masiakowa dużo mówi o tej dzielnej dyrektorce, ciepło wspomina nauczycielkę Antoninę Jaworską, bardzo młodziutką wówczas po pierwszej wojnie, więc nazywały ją między sobą sympatycznie panią Tosią. Przywołuje jeszcze kilka nazwisk pedagogów, którzy mieli wpływ na jej ukształtowanie.

Nie tylko córki posiadali jednak Tyszkiewiczowie. Synów Pawła i Stanisława przyuczył ojciec do najważniejszego zawodu świata, czyli do tego, który sam przez ponad pół wieku miał sprawować: zostali gajowymi. Także w lasach państwowych; u dziedziców pracować nie chciał i synom nie pozwolił. Władek też zaczynał w lasach, był pomocnikiem księgowego w nadleśnictwie, miał wielkie zdolności matematyczne, ale... Inne szkoły średnie nie dawały tylu ulg, co seminaria nauczycielskie. W końcu Władek poszedł w świat za chlebem, bo było go coraz mniej w odrodzonej ojczyźnie, ale i Francję opanował już kryzys gospodarczy, więc po drodze Władkowej były: Algeria, Maroko i Indochiny, a pod koniec tej wojny — walki pod Monte Cassino. Następnie USA, gdzie został sporym farmerem.

Zresztą i Stanisław zwiedzał świat. W czasie wojny znalazł się w ZSRR, przewędrował potem Palestynę, trafił do generała Maczka i brał udział w zwycięskim zakończeniu wojny, której początek był tak fatalny dla ich najstarszego brata Pawła. I Stanisław znalazł się w USA, ukończył tam studia inżynierskie, buduje drogi, mosty, i choć wiek pozwalałby mu wybrać emeryturę, jak to uczynił Władysław, ulega perswazjom i zostaje. Teraz ratuje przyrodę, a właściwie ją przywraca obok autostrad, wykorzystuje specjalność uzyskaną w okolicach Parczewa, Chełma i Krasnegostawu od własnego ojca. Kieruje ekipami, które obsadzają brzegi wielkich magistrali drzewami, byle tylko od przemądrej i nużącej industrializacji ochronić naturę. O tych synach mówią mi razem i oddzielnie trzy kobiety, najstarsza z nich, chociaż minęło 41 lat od śmierci pierworodnego, wspomina go najlepiej:

— Z Pawłem gospodarowałam sobie, z Pawłem najwięcej. Paweł cały gospodarz był. Czy do szpitala, czy ze szpitala, na targ i z targu — on za-

Dokończenie na str. 12

Fot. W. Stępień

Leszin - Waśkiewicz dokąd idziecie?

Roman Gorzelski

W SWYM artykule dyskusyjnym pt. „Nadęty balon pokolenia" („Kamena" nr 4 z 17 lutego br.) Henryk Makarski wytacza działa słusznych argumentów przeciwko wcale nie marginalnym pestkom naszej rzeczywistości nie tylko młodoliterackiej. Przy okazji, może zbyt surowo, karci jednego z animatorów ruchu młodoliterackiego (i tegoż ruchu skrybę!), czyli popularnego w tzw. środowisku Andrzeja K. Waśkiewicza. Faktem jest, że ten dwojga imion wciąż rzekomo młody poeta wraz z dwojga nazwisk innym rzekomo młodym poetą, Jerzym Leszinem-Koperskim, wymyślili coś tak dziwnego jak pokolenie „Orientacji" — na wzór pokolenia „Współczesności" zapewne (Drozdowski, Herbert, Rymkiewicz, Grochowiak i in.), nie mówiąc już o pokoleniu „pryszczatych", czy też o takich popularnych pokoleniach jak „The Lost Generation" (Gertruda Stein, Ernest Hemingway, Scott Fitzgerald), „Beat-Generation" (Allan Ginsburg, Jack Keruac, Dylan Thomas, Kenneth Bexroth, Lawrence Ferligetti, Pete Brown), „Hippie Generation"... bez gwiazd, bez znakomitych nazwisk.

I chyba to ostatnie amerykańskie pokolenie można porównać do naszej „Orientacji", raczej też nie mogącej się pochwalić gigantami literackimi. Stąd też, na wzór obcojęzycznych generacji, zrodził się u Leszina-Waśkiewicza pomysł wydawania tomików pod nazwą „Generacje" (w USA istnieje wydawnictwo publikujące młodych — „Generacje"!), co nie byłoby chyba takie złe i głupie, gdyby nie to, że wiele z tych generacyjnych tomów już przed opublikowaniem nie sprawdzało się artystycznie. Mam tu na myśli tomiki samego Leszina-Waśkiewicza, czyli głównego wydawcy, który dużo sobie wydawał, a dopiero potem przy okazji innym: Peiperowi, Bojarskiemu, Grześczakowi, Gąsiorowskiemu — czyli autorom, którzy raczej nie potrzebowali pomocy ze strony Leszina-Waśkiewicza.

Ale Leszin-Waśkiewicz, wydając tych renomowanych autorów, chciał usprawiedliwić wydanie także swoich, chyba w tym kontekście nie najlepszych, wierszy — w owym dziwnym pokoleniowym tyglu. Chociaż należy przy okazji powiedzieć, że przy „Orientacji", jak też w „Generacji", wydano kilka bardzo ciekawych debiutów, co już w jakiejś mierze rozgrzesza wydawanie swoich książek przez Leszina i Waśkiewicza (plus książki nieudaczników literackich zaprzyjaźnionych z wydawcami). Ale nie wymagajmy od Leszina-Waśkiewicza zbyt wiele: jak i my wszyscy są tylko ludźmi i błądzenie, czyli działanie ich na niekorzyść innych młodych poetów, powinniśmy usprawiedliwić. Leszin i Waśkiewicz zrobili wiele złego, ale też zrobili wiele dobrego. Tylko ten się nie myli, kto nic nie robi. A firma Leszin-Waśkiewicz jest w ciągłym ruchu. Ci dwaj panowie prawie wszystkie swoje książki wydali nakładem bądź Lubuskiego Towarzystwa Kultury, bądź też nakładem „podziemnej" swojej firmy wydawniczej „Leszin-Waśkiewicz". Czy nie lepiej byłoby na to miejsce wydać tomy wierszy eksperymentujących poetów, takich jak Milczewski, Wojaczek, Dróżdż, Bocian i inni? Tylko, że tej poezji nie rozumiały nie tylko wydawnictwa profesjonalne, nie rozumieli jej także właściciele firmy „Generacje-Orientacje" — Leszin i Waśkiewicz. A szkoda!

Rzeczywiście, trochę nieładnie wygląda w tym świetle samo wybrzydzanie się Waśkiewicza — w końcu nie giganta poetyckiego — na tzw. podziemny ruch wydawniczy, jeżeli przecież sam w tym ruchu został poczęty, nie wymawiając mu już tych tysięcy złotych, jakie na tym ruchu (dzięki zaradnemu, pracowitemu i wszędobylskiemu Leszinowi) zarobił... I bardzo dobrze! — chciało by się rzec, gdyby nie... No właśnie.

Wszystko byłoby O. K., gdyby A. K. Waśkiewicz nie miał pasji pisania wierszy i recenzji z wierszy innych poetów, czyli potencjalnych konkurentów. A wygląda to mniej więcej tak: jednego tygodnia ukazuje się kobylasta recenzja z tomików młodych poetów (często lepszych od Andrzeja K. Waśkiewicza), gdzie A. K. Waśkiewicz tonem wszechwiedzącego mentora i pedagoga poucza ich, jak należy robić wiersze. Następnego tygodnia, w tym samym czasopiśmie ćwierćliterackim, ukazują się wiersze mentora: mówiąc delikatnie — nie zawsze znakomite bądź dobre.

I tu młody czytelnik jest już zupełnie zdezorientowany. Co robić? Komu wierzyć? A może te niezbyt doskonałe mentorowe wiersze są to bardzo dobre wiersze? Czy pióro niestrojne, czy się mentor myli? — chciałoby się w tym miejscu sparafrazować wieszcza... A prawda, jak zwykle, leży po środku. Dla mnie Waśkiewicz sprawdził się jako „księgowy" wielkiej rzeki tomików wydawanych w ciągu dziesięcioleci. Robi to z pasją, z przejęciem, nawet z uszczerbkiem dla spraw osobistych. I chwała mu za to. A że przy okazji w tym wydawniczym ruchu podziemnym opublikował prawie wszystkie swoje książki — nie miejmy mu za złe, taka jest prawidłowość...

Jednak powinien się zdecydować: albo pisać wiersze (takie jakie pisze), albo recenzje. W tej chwili bardzo subiektywne recenzje i wiersze jego raczej się ze sobą gryzą, a Waśkiewicz wychodzi na zawistnego poetę, któremu niezbyt się powiodło. Jako poecie. I w tym coś musi być — zapewne myślą poniektórzy, mający jakieś ukryte pretensje do bardzo zapracowanego literata, jakim naprawdę jest A. K. W.

Samo zjawisko „Orientacji" (czy „Generacji"), wymyślone przez Leszina, a opisane — nie za darmo przecież — przez Waśkiewicza, wypełnia jakąś lukę na zasadzie: na bezrybiu i rak ryba... Czyli — Waśkiewicz jest syty, a i Leszin cały (wydany). To że Leszinowi i Waśkiewiczowi, tj. „Orientacji wzajemnej adoracji", nie chodziło wcale o innych młodych poetów, tylko o siebie i paru kolegów — świadczyć może prześmieszna historyjka, jaka im się przydarzyła przy okazji organizowania ogólnopolskiego konkursu pt. „Nike Warszawska".

Było to w roku 1968. Konkurs ogłoszono, ogólnopolski, a warunkiem było nadesłanie nieopublikowanego tomu wierszy w trzech egzemplarzach. Żył wtedy Rafał Wojaczek, poeta niezbyt znany; trudny, kontrowersyjny, próbujący przebić mur milczenia wokół swojej twórczości. Jak wiemy, udało mu się to dopiero po śmierci. Ponieważ Wojaczek nie miał zdolności towarzyskich, a wydawca Leszin-Waśkiewicz niezbyt jeszcze wówczas cenił sobie wierszoklectwo Wojaczka — flirt ten za życia świetnego poety nie powiódł się. Ale wracając do finału konkursu „Nike Warszawska" — nikt z warszawiaków nie dostał wtedy nagrody, tylko ci z prowincji: Rafał Wojaczek, Dorota Chróścielewska, Władysław Huzik... A kiedy się to okazało, rozzłoszczeni chyba nieco na swój stołeczny niefart organizatorzy obniżyli nagrody do połowy wysokości obiecywanych sum i nie wydali nawet Rafałowi Wojaczkowi tomu ani w „Orientacji", ani w „Generacji", chociaż w regulaminie konkursu na całą Polskę to solennie obiecywali. Wydali natomiast tomiki sobie, czyli wydawcy Leszin-Waśkiewicz, poetom jak wiadomo znacznie słabszym od Rafała Wojaczka.

Ponieważ Wojaczek jeszcze żył, więc nie trzeba było się z nim liczyć, tak jak nie trzeba było się liczyć chociażby z poetą z Grudziądza — Milczewskim-Brunol Wydali też tomiki poetom nie potrzebującym ich pomocy, o czym już wyżej wspominałem, aby zatrzeć wszelkie ślady po niezbyt uczciwym rozegraniu finału „Nike Warszawska".

Oczywiście, organizatorzy tego niechlubnego konkursu nie podejrzewali, że Wojaczek stanie się poetą numer jeden w kręgach młodoliterackich, a nie stać ich było jednocześnie na wysoką ocenę jego twórczości przy pomocy zwykłego odczytania tekstu: ta twórczość było poza zasięgiem ich rozumienia sztuki. Tak to przynajmniej w tej chwili z perspektywy czasu wygląda. To, że jury wysoko oceniło tom wierszy Wojaczka, zupełnie nie miało znaczenia dla właścicieli konkursu „Nike Warszawska", czyli dla Leszina-Waśkiewicza! Ta twórczość była dla nich zagmatwana, obsesyjna, ciemna, niezrozumiała, podobnie jak twórczość Milczewskiego. Trudno jest coś propagować, jeżeli się tego nie rozumie. A może zrozumieć nie chce?

Z pewnych oczywistych względów: po co lansować zdolniejszego poetę, który się jeszcze nie wybił? Jestem święcie przekonany, że z wydawnictwa „Orientacje" i „Generacje" nikt się nie wybił, nikomu to nie pomogło, oprócz samych właścicieli firmy „Leszin-Waśkiewicz"!

Kiedy to piszę — przenika mnie lęk: Leszin i Waśkiewicz mają długie ręce; tu i ówdzie siedzą ich kompani, którym w nagrodę wydali tom wierszy. Więc siedzę, piszę ten materiał dyskusyjny, dotyczący ruchu pod egidą naszych dwóch nieustających bohaterów, i cały czas się boję... Może nawet umrę ze strachu? I wtedy tom moich wierszy wydadzą mi... Leszin i Waśkiewicz. Jest to myśl, prawda? Jest to złota myśl. Oczywiście, piszę ja o tych, w końcu jednak ważnych, sprawach pół żartem, pół serio, ale jest to w pewnym sensie trochę śmiech przez łzy... Oprócz tego stara maksyma mówi, że nikt nie jest idealny. Więc może Leszin też nie jest taki straszny, jakim ja go tu rysuję, choć samo słowo „leszin" po starosłowiańsku znaczy podobno — diabelski, czarci, diabli — syn?... Czas pokaże, trawa porośnie...

A teraz parę słów na temat recenzji, recenzentów i pisywania przez nich wierszy, często wierszy przeciętnych. Owszem, istnieje u nas taka zła tradycja, która narodziła się właśnie wskutek braku na rynku literackim prawdziwej i odpowiedzialnej za stan tworzonej literatury — dobrej, dojrzałej plejady krytyków. Ta krytyka, która u nas istnieje, robiona na zasadzie świadczenia sobie usług wzajemnych, nie może mieć żadnego wpływu na sam rozwój literatury zarówno młodej, jak i starszej.

Co nie znaczy, że nie należy się liczyć ze stanem faktycznym. Bo, jak wiemy z czytania, recenzje wielu autorów są swoistym popisem erudycyjnym (czytaj: bełkotem) i w ogóle pretekstem do pisania o sobie, chociaż pozornie by się wydawało, że powinno się pisać o autorze omawianej książki. I tak oto, „ni z gruszki ni z pietruszki", wyskoczył niejaki Kucner: „hermetyczny" recenzent i poeta, który się wsławił tym (jak pisała nie tak znów dawno o nim prasa studencka), że otrzymał nagrodę debiutu... za drugi tomik swojej wytwórczości poetyckiej. Działo się to w konkursie poetyckim „Czerwona Róża" w Gdańsku. Jury, wskutek braku kompetentnej krytyki literackiej, może nie wiedzieć, że nie jest to pierwszy tom Kucnera, jeno DRUGI! Ale przecież sam Kucner wiedział o tym doskonale! Mimo to pojechał do Gdańska, pobrał nagrodę debiutu za drugi tom — czyli zabrał nagrodę komuś, komu ona naprawdę się należała. Mimo popełnionej nieuczciwości — w dalszym ciągu cytuję za prasą studencką — od czasu do czasu publikuje w prasie prowincjonalnej recenzje o kolegach. O wartości tych recenzji pisałem już wyżej.

I jeszcze kilka słów o pewnym poecie — recenzencie mieszkającym w Łowiczu, niejakim Skibińskim. Nie jest to poeta aż tak niedobry, aby musiał bić wszelkie rekordy serwilizmu! Bowiem jest to chyba jedyny poeta-recenzent, który swe przepiękne „krytyki" — panegiryki pisuje na kolanach! Najpierw o Przybosiu potem o Czerniku. A teraz o Piechalu. W tzw. środowisku mówi się o nim żartobliwie naturalnie, że jest on jak thanatos — anioł śmierci: lubuje się w twórczości nieżywych lub sędziwych poetów. Módlmy się więc, aby Skibiński raczej za swego życia o nas nie pisał.

W pewnym miejscu swej wypowiedzi na temat stanu naszej współczesnej krytyki młodoliterackiej Henryk Makarski pisze: *Czy „krytycy" muszą wmawiać młodym poetom, że najprostszą drogą do sławy jest przepisywania Eliota i anglosaskich poetów metafizycznych, słowem: uniwersalizacja i europeizacja poezji?* Wydaje mi się, że czytanie Eliota w tej chwili nie ma sensu. Także nie ma sensu jego przepisywanie. To, co było w nim wartościowego — zostało już przed wieloma laty wyssane, wyczytane i przepisane do dna, do imentu, żeby nie rzec — do rozpuku.

Kiedy byłem jeszcze tzw. młodym poetą i tłumaczem (teraz jestem już starym, bo członkiem ZLP) — pasjonowałem się, jak wszyscy, Eliotem, a jako przewodniczący Koła Młodych przy łódzkim oddziale ZLP (były to lata 1964—65) zapraszałem na zebrania do nas Jarosława Marka Rymkiewicza. I mówiliśmy o modnym wówczas Eliocie, na którego, jak widać, w Kołach Młodych moda nie przemija, a szkoda. Mówiliśmy o neoklasycyźmie, o poetach angielskich okresu elżbietańskiego. Aż pewnego dnia okazało się, że z tym przepisywaniem Eliota i anglosasów ktoś gdzieś przesadził: właśnie w 1965 roku na Sympozjum Młodych Twórców w Bydgoszczy miałem okazję dowiedzieć się (był to publiczny głos w dyskusji) z ust samego Bohdana Drozdowskiego, że wiersze Rymkiewicza bardzo podobne są do wierszy Eliota oraz paru innych anglosasów: po prostu Rymkiewicz podobno za bardzo przejął się rolą (neoklasyka chyba) i zbyt wiernie oraz zbyt często cytował Eliota pośród swych utworów wierszowanych.

A zatem nie ma po co czytać Eliota. Został on już doszczętnie przeczytany i przepisany. Pozostaje nam uczenie się innych języków obcych: może arabskiego, może chińskiego, może suahili... Jak pamiętamy, Ezra Pound (jeżeli już przy anglosasach jesteśmy) nauczył się chińskiego jeszcze przed drugą wojną światową — przełożył trochę wierszy chińskich i stał się jednym z najwybitniejszych poetów dwudziestego wieku! A my kręcimy się w kółko, depczemy sobie po piętach — dosłownie i w przenośni — toczymy boje o generację „Orientacji". Jeżeli już orientacja — to w którą stronę? Chyba, żebyśmy wybrali drogę Wojaczka, Milczewskiego — Bruno albo Eugeniusza Zarzyckiego, autora dwóch tomików wierszy, który także skończył śmiercią samobójczą w podłódzkim Zgierzu w 1966 roku i nikt już o nim nawet w Łodzi nie pamięta. Tylko co zrobić z życiem: może wsiąść do byle jakiego, a nieźle nadętego balona naszego straconego pokolenia poetów — recenzentów i wraz z nimi zdążać — niestety! — do nikąd?

SENSACJE Z PRZESZŁOŚCI

Atomowa wojna bogów (!)

Aleksander Mora

ZANIM nasza cywilizacja wkroczyła w wiek atomowy — wiele odkryć, przekazów mitologicznych, opisów w świętych księgach, wykopalisk i zagadkowych zjawisk obserwowanych na ziemi pozostawało niezrozumiałymi.

Sędziwe teksty sanskryckie „Mahabharata" opisują szczegółowo wybuchy wielkich kul ognistych oraz wywołane przez nie burze i sztormy. Następstwa tych wybuchów przybierały u ludzi formę klasycznych objawów choroby popromiennej, wywołując utratę włosów, wymioty, osłabienie i w końcu śmierć. Co ciekawe, teksty te podają, że osoby znajdujące się w zasięgu działania wybuchów mogą się ocalić, usuwając wszystkie metale z powierzchni swoich ciał i zanurzając się w wodzie rzecznej. Cel tego mógł być tylko jeden — dekontaminacja przez zmycie powierzchni ciała i odzieży z cząstek radioaktywnych, czyli proces, który w takich przypadkach zalecany jest i dzisiaj.

Erich von Däniken wspomina zawarte w rozmaitych starożytnych tekstach opisy broni jądrowej, sugerując, że była ona użyta przez przybyszów z kosmosu, wyposażonych w wytwory swej zaawansowanej wiedzy i technologii, przeciwko prymitywnym mieszkańcom naszej planety. Wydaje się jednak mało prawdopodobne, aby przybysze stosowali tak drastyczne środki przeciwko pierwotnym niecywilizowanym, wyposażonym jedynie w łuki i strzały, mieszkańcom Ziemi.

Richard B. Mooney podaje, że brahmińska księga „Siddnanta-Ciromani" posługuje się jednostkami czasu, z których ostatnia, najmniejsza *trutti* stanowi 0,33750 sekundy. Uczeni studiujący teksty sanskryckie są zakłopotani, nie mogąc wyjaśnić, do czego służyć mogła w starożytności tak mała jednostka czasu i jak można było ją mierzyć bez odpowiednich instrumentów. Współczesne prymitywne szczepy posiadają dość niejasne pojęcie czasu i nawet godziny mają dla nich stosunkowo niewielkie znaczenie. Trudno więc sobie wyobrazić, żeby starożytne ludy prymitywne zachowywały się w tym względzie inaczej.

Andrew Tomas w swojej książce „Nie jesteśmy pierwsi" pisze: *Według jogi Pundit Kaniah z Ambatturu w Madras, którego spotkałem w roku 1966, początkowo system pomiaru czasu u braminów był sześćdziesiątkowy, na dowód czego joga cytował wyjątki z „Brihath Sakatha" i innych tekstów sanskryckich. W dawnych czasach doba dzieliła się na 60 „kala", z których każda wynosiła 24 minuty. „Kala" dzieliła się na 60 „vikala", z których każda wynosiła 24 sekundy. Następnymi sześćdziesiąt razy mniejszymi jednostkami były: „para", „tatpara", „vitatpara", „ima" i w końcu „kashta" — jedna trzystamilionowa część sekundy. Do czego starożytnym Hindusom służyć mogły ułamki mikrosekund? Pundit Kaniah wyjaśnił, że uczeni brahmini od zarania dziejów zobowiązani byli do zachowania tej tradycji w pamięci, choć sami jej nie rozumieli.*

Jedna trzystamilionowa część sekundy — *kashta* — nie może naturalnie mieć żadnego sensu praktycznego, jeśli nie dysponuje się urządzeniami, które mogłyby mierzyć czas z taką dokładnością. Z drugiej strony wiadomo, że czas życia niektórych cząstek jądrowych: hiperonów i mezonów jest bliski jednej trzystamilionowej części sekundy!

Tablica „Varahamira", datowana na rok 550 naszej ery, zawiera wielkości matematyczne porównywalne z wymiarami atomu wodoru. Czyżby te liczby również przekazano nam z odległej przeszłości? Joga Vashishta twierdzi: *Istnieją rozległe światy w pustych przestrzeniach każdego atomu, tak różnorodne jak pyłki w promieniach słońca.* Wydaje się to wskazywać na starożytną wiedzę o tym, że nie tylko materia zbudowana jest z niezliczonej liczby atomów, lecz że w samych atomach, jak dziś wiemy, większa część przestrzeni nie jest wypełniona materią.

Teksty te, pochodzące z dalekiej przeszłości, wskazują więc, iż już wówczas istniała głęboka znajomość fizyki atomowej. Fakt, że brahmini zobowiązani byli pamiętać szereg symboli matematycznych, nie rozumiejąc ich nawet, świadczy o celowo podjętym wysiłku zmierzającym do przekazania wiedzy z zaginionej ery technologicznej. Można sobie wyobrazić pradawnych uczonych, którzy obserwując upadek swojej cywilizacji, zapisywali swoją wiedzę i powierzyli pewnej grupie ludzi odpowiedzialność za przekazywanie jej poprzez wieki, aż do czasu, kiedy znowu stanie się ona zrozumiała.

Wydaje się także, że coś z tej starożytnej nauki przenikało przez wieki w dość ogólnej formie. Dwa i pół tysiąca lat temu Demokryt mówił: *W rzeczywistości nie istnieje nic, tylko atomy i pusta przestrzeń.* Grecy uważali, że atom jest najmniejszą jednostką materii i nie może być podzielony, podczas gdy Fenicjanin Moschus zapewniał, że atom można podzielić, i usiłował o tym przekonać Greków. Żyjący w pierwszym wieku przed naszą erą uczony rzymski, Lucretius, pisał, że atomy *pędzą nieustannie w przestrzeni i podlegają niezliczonej liczbie zmian pod zakłócającym wpływem zderzeń. Są one zbyt małe, aby można je było widzieć.*

Dopiero w dziewiętnastym i dwudziestym stuleciu podjęto poważne prace w dziedzinie fizyki atomowej, więc uczeni starożytni, których fragmentaryczna wiedza pochodzić musiała z zamierzchłej epoki zapomnianej technologii, nie mogli potwierdzić swych wiadomości w praktyce, nie istniała bowiem technologia, która by im to umożliwiła.

Zamierzchła epoka, kiedy wiedza ta była stosowana w praktyce, wykorzystywała prawdopodobnie energię atomową do wielu celów. Idea transmutacji metali, która pochłaniała uwagę alchemików przez całe wieki, każąc im szukać sposobu zamiany ołowiu w złoto, wynikła prawdopodobnie z jeszcze starszej wiedzy o tym, że manipulacja strukturami atomowymi pierwiastków pozwala na przekształcanie jednego z nich w drugi.

Jednakże najbardziej nas tutaj interesuje nie samo zastosowanie energii jądrowej, lecz jej niewłaściwe zastosowanie. Wydaje się, że rozmaite starożytne teksty stwierdzają ponad wszelką wątpliwość fakt wystąpienia na ziemi straszliwej masakry ludzkości. W sferze domysłów znajduje się jedynie to, czy konflikt ów był wyłącznie ziemskiego pochodzenia, czy też brali w nim udział pochodzący z kosmosu przybysze, wyposażeni w zaawansowaną wiedzę i technologię.

Charles Berlitz pisze, że zaskakujące wzmianki i aluzje do stosunkowo niedawnych zdobyczy naszej cywilizacji, jak bomba atomowa, rakiety, gazy bojowe i inne, występują szczególnie obficie w starożytnych tekstach indyjskich. Wyjątkowo dużo tego rodzaju opisów napotkać można we wspomnianym staroindyjskim eposie — „Mahabharata", stanowiącym kompendium wiedzy dotyczącej religii, świata, modłów, obyczajów, historii oraz legend o bogach i bohaterach starożytnych Indii. Często nazywa się ten epos „indyjską Iliadą", chociaż jest siedem razy obszerniejszy od Iliady i Odysei razem wziętych (zawiera 200 000 wierszy). Przypuszcza się, że został napisany około 1500 lat przed naszą erą, ale dotyczy zdarzeń znacznie wcześniejszych. Po raz pierwszy wydrukowano go w sanskrycie w roku 1834, a następnie przełożono: najpierw w roku 1843 na język włoski, a następnie w 1884 na angielski.

„Mahabharata" w dużej części zajmuje się działaniami wojennymi, w których biorą udział bogowie, półbogowie i ludzie. Przypuszcza się, że opisy te stanowią quasi-historyczny przekaz dotyczący inwazji Ariów z północy, którzy wyparli pierwotnych mieszkańców tych ziem, Drawidów, na południe półwyspu indyjskiego. Jednakże wśród normalnych w takich razach obrazów starożytnych działań bojowych rozrzucone są zagadkowe i bardzo szczegółowe wzmianki dotyczące, łatwych obecnie do zidentyfikowania, broni jak działa artyleryjskie — „agneyastra" rakiety, samoloty bojowe — „vimana", radar, zasłony dymne, gazy trujące — „tashtra", gazy obezwładniające — „mohanastra", pojazdy rakietowe i głowice atomowe. W II połowie XIX wieku fragmenty te brzmiały tajemniczo lub zabawnie; dzisiaj natomiast ich wymowa jest dla wszystkich chyba mieszkańców kuli ziemskiej oczywista, pomimo że od czasu, którego opisy dotyczą, minęły tysiące lat.

Przedstawiając bitwę pomiędzy starożytnymi armiami, „Drona Parva", jedna z ksiąg „Mahabharata", opowiada o walce, w czasie której wybuchy pocisków dziesiątkują całe armie, powodując, że tłumy żołnierzy *wraz z rumakami, słoniami oraz bronią zostały uniesione i porwane przez wielki wicher jak suche liście z drzew...* Starożytny kronikarz dodatkowo zaopatrzył ten opis w komentarz: *Wyglądali tak wspaniale jak szybujące ptactwo — jak ptaki odlatujące z drzew.* Tekst zawiera nawet przedstawienie charakterystycznego grzybiastego wybuchu nuklearnego, który porównywany jest do otwarcia gigantycznego parasola, zaś opis skażenia środków żywnościowych, wypadania włosów u ludzi oraz konieczność dokładnego zmycia ciała ludzi i zwierząt dla zapobieżenia chorobie lub śmierci stanowią dziwnie nowoczesny akcent tej starożytnej legendy.

A oto, pochodzące z „Mahabharata", „Ramayana" i „Mahavira Charita" fragmenty opisujące walkę: *Pojedyńczy pocisk wybuchł z całą mocą świata. Rozżarzony słup dymu i ognia, tak oślepiający jak 10 000 słońc, uniósł się w całej swej wspaniałości (...). Była to nieznana broń, żelazny piorun, gigantyczny posłaniec śmierci, który zamienił w popioły całą rasę Vrishni i Andhaka. Ciała były tak popalone, że nie można ich było rozpoznać. Ich włosy i paznokcie powypadały, wyroby garncarskie popękały bez widocznego powodu, a wszystkie ptaki zbielały. Po kilku godzinach wszystkie produkty spożywcze zostały zatrute (...) Aby uciec od tego ognia, żołnierze rzucali się do strumieni, aby obmyć siebie i swój ekwipunek.*

Następstwa działania tej superbroni opisane są następująco: *Zaczął dąć wicher (...), wydawało się, że słońce się obróciło, świat, spieczony ogniem, wydawał się być w gorączce. Słonie i inne zwierzęta lądowe, palone energią tej broni, mknęły w ucieczce (...), nawet wody były tak gorące, że przebywające w nich stworzenia zaczęły palić się (...). Nieprzyjacielscy żołnierze padali jak drzewa spalone w szalejącym ogniu — wielkie słonie palone tą bronią, padały na ziemię, wydając dzikie ryki bólu. Inne, palone ogniem, biegały we wszystkie strony jak wśród płonącego lasu, także rumaki i pojazdy spalone energią tej broni wyglądały jak szczyty drzew, które spłonęły w pożarze lasu...*

Księga „Karna Parva" podaje nawet wymiary broni: *Strzała śmiertelna jak laska śmierci. Mierzy ona trzy łokcie i sześć stóp,* (320 cm — AM). *Obdarzona mocą pioruna tysiącokiego Indry, była ona niszczycielska dla wszystkich żyjących stworzeń.*

Starożytni hindusi wykazali w swoich przekazach piśmienniczych zaskakującą wiedzę naukową o świecie i materii. W powstałym przed około 5000 laty dziele zatytułowanym „Jyotish" znajdujemy rozważania na takie tematy, jak heliocentryczny ruch planet, prawa grawitacji, gwiazdy stałe na Mlecznej Drodze, dobowy obrót osiowy ziemi, kinetyczna teoria energii i teoria budowy atomu. Wiadomo także, że niektóre szkoły filozoficzne podejmowały jako przedmiot swoich rozważań skomplikowane obliczenia z zakresu fizyki atomowej. Wyznaczenie czasu „potrzebnego do przejścia atomu przez jednostkę objętości równą tej, jaką on sam zajmuje" jest przykładem jednego z prostszych „tematów badawczych".

Istnieją także liczne przykłady ścisłych i realnych opisów budowy rakiet i samolotów. Sama tylko „Mahabharata" zawiera 230 strof poświęconych opisowi zasad konstrukcji latających maszyn („Vimana"), oraz innych urządzeń i aparatów. W „Samarangana Sutradhara" omawiane są zalety i wady rozmaitych typów samolotów zarówno z punktu widzenia ich względnych zdolności i szybkości wznoszenia, jak również sposobów lądowania. Dyskutuje się tam także rodzaje materiałów napędowych (między innymi rtęć!) oraz materiałów konstrukcyjnych, a mianowicie różnych odmian drewna, metali lekkich i ich stopów.

Zwróćmy uwagę na fragment opisu lotu „Vimana": *W wyniku działania sił utajonych w rtęci, które uruchamiają napędowy wir powietrza, człowiek znajdujący się wewnątrz może podróżować w podniebną dal [...]. Vimana za pomocą rtęci rozwijać może moc pioruna [...]. Jeśli ten żelazny silnik o odpowiednio połączonych częściach zostanie napełniony rtęcią, a do jego górnej części doprowadzony zostanie żar, to zaczyna on z rykiem lwa rozwijać moc [...] i natychmiast staje się niczym perła na niebie...*

Inny staroindyjski epos klasyczny „Ramayana" opisuje widok, jaki roztaczał się z góry podczas lotu boga Rama i jego małżonki Sita ze Sri Lanka do Indii. Widok ten opisany jest tak szczegółowo, że wydaje się niemożliwe, aby autor mógł tego nie obserwować sam z góry. Ponadto starożytny samolot pokazano w sposób zadziwiająco nowoczesny: *niepowstrzymany w swym ruchu [...], o godnej podziwu szybkości [...], w pełni kontrolowany [...], o pomieszczeniach wyposażonych w okna i znakomite miejsca siedzące...*

Jednocześnie znajdujemy w tych dziełach stałą troskę i zaabsorbowanie niebezpieczeństwami wynikającymi z użycia broni nuklearnej. „Mahabharata" zawiera wersety, które, jeśli pominiemy ich archaiczny styl, mogliby wypisać na swoich sztandarach dzisiejsi bojownicy o pokój: *Wy, okrutni i niegodziwi, upojeni i zaślepieni pychą, przez wasz Żelazny Piorun staniecie się niszczycielami własnego narodu.*

„Ramayana" przestrzega, iż „Strzała Śmierci" jest *tak potężna, że może w jednej chwili zniszczyć całą ziemię, a jej straszliwy wznoszący się dźwięk, wśród płomieni, dymu i pary [...] jest posłańcem śmierci.*

Wreszcie „Badha Parva" opisuje efekty ekologiczne użycia takich bomb: *nagle pojawiła się jakaś substancja podobna do ognia* (stan plazmy? — AM), *i nawet teraz pokrywające się bąblami wzgórza, rzeki i drzewa oraz wszelkiego rodzaju zioła, trawy i rośliny, w ruchomym i nieruchomym świecie, obracają się w popiół.*

W końcu w „Mausala Parva" znajdujemy notatkę wskazującą na to, że zdano sobie wreszcie sprawę z tego, iż broń ta jest zbyt niebezpieczna dla świata. Notatka wydaje się napomykać o niszczeniu i pozbywaniu się głowic atomowych: *w wielkim strapieniu umysłu król nakazał zniszczyć Żelazny Piorun na drobny proch. Wezwano ludzi [...], aby wrzucili ten proch do morza.*

d. c. n.

DROGOWSKAZY

Obecnie w naszej ankiecie wypowiada się prof. dr Jan Białostocki, kurator działu sztuki obcej Muzeum Narodowego w Warszawie i znany krytyk.

JAN BIAŁOSTOCKI

GDY byłem młodym człowiekiem, jeden z mych mentorów zapisał mi jako dyrektywę życiową słowa: „angażować się". Wyczuł trafnie pewną niechęć do narzucania się ludziom i sprawom, choć w tle tej niechęci nieśmiałość splatała się z pokaźnym kapitałem inicjatywy. I tak już zostało: nie wziąłem pod uwagę życzliwej rady. We wszystkie koleje życiowe angażował mnie los, bądź życzliwi ludzie, jak profesor Michał Walicki, którego spotkanie przesądziło o mej specjalizacji jako humanisty. Nie angażowałem się w konspirację ani politykę, w karierę ani w zdobywanie pieniędzy. Los dawał mi jednak bardzo wiele szczęścia w życiu, obdarzając upodobaniami zgodnymi z mymi możliwościami i charakterem, łatwością podejmowania i sprawnego wykonywania nieprostych nieraz zadań, zamiłowaniem do pracy, która stała się mym zawodem, dzięki czemu nigdy nie dzieliłem życia na pracę i wypoczynek; działanie w mej specjalności było dla mnie zawsze satysfakcją; a nade wszystko los stawiał mnie w sytuacjach, w których otoczony byłem ludzką sympatią. Gdy zarysowywały się — choć rzadko — perspektywy konfliktów, nie angażowałem się w spory, lecz wycofywałem tam, gdzie znajdowałem ludzi życzliwych i chętnych do współpracy. Jeśli odnosiłem sukcesy, a zapewne można tak obiektywnie powiedzieć, mało w tym było mej zasługi. Przychodziły niejako z zewnątrz, łatwo i bez ciężkiej o nie walki. Bo nigdy do nich jakoś nie dążyłem, choć byłem im rad.

Co nowego w teatrach NRD?

OD kilku lat realizowana jest w NRD polityka szerokiej prezentacji na scenach teatralnych i muzycznych sztuk pióra współczesnych pisarzy i kompozytorów tego kraju. Ich tematyka dotyczy przede wszystkim współczesnych problemów i spraw obywateli NRD, koncentrując się na dokonujących się zmianach w świadomości społeczeństwa, jakie zaszły po II wojnie światowej. Oczywiście, nie każdy nowy utwór przynosi sukces autorowi i wykonawcom, jednakże konsekwentnie prowadzona popularyzacja współczesnej dramaturgii zaowocowała wystawieniem wielu interesujących sztuk.

Jak wynika z zapowiedzi repertuarowych, także i rok bieżący będzie przebiegał pod znakiem prezentacji rodzimej twórczości. Ponad połowa premier i nowych inscenizacji zaplanowanych przez teatry NRD na obecny rok, to właśnie utwory dramatopisarzy i kompozytorów NRD. Wśród nich znajdują się m. in. nowe sztuki pióra Rainera Kerndla, Rudiego Strahla, Petera Hacksa, Juergena Grosza. Duże powodzenie, jakim cieszyły się sztuki tych autorów w poprzednich latach takich jak „Biedny rycerz" P. Hacksa czy „Mecz" J. Grosza spowodowało, że szereg z nich zostanie w tym roku wystawionych przez mniejsze teatry, które często dotychczas preferowały klasykę.

Interesująca tendencją w życiu teatralnym NRD jest także coraz większe znaczenie, jakie przywiązuje się do ścisłej współpracy autora z teatrem. Pisarz, znając dobrze zespół teatralny, możliwości aktorów i reżyserów pisze właśnie pod kątem dającym możliwość pełnego wykorzystania przez zespół tych możliwości.

W repertuarze teatrów NRD nie brakuje też sztuk Brechta, które należą do stałych pozycji repertuarowych wielu scen. W tej dziedzinie ze szczególnym zainteresowaniem oczekuje się dwóch inscenizacji. Pierwsza z nich to premiera w Erfurcie „Baala" — sztuki, która dotychczas nie była wystawiana w NRD, a druga, to nowa inscenizacja „Kariery Artura Ui" w berlińskim Teatrze Narodowym.

W maju br. przypada 175 rocznica śmierci Fryderyka Schillera. Z tej okazji przygotowywanych jest ponad 20 inscenizacji utworów tego wielkiego romantyka niemieckiego m. in. „Zbójcy", „Maria Stuart" i „Don Carlos". Także na ten rok zaplanowano kilka wystawień utworów Goethego, w tym „Fausta".

Jeżeli chodzi o sztuki zagranicznych autorów, to teatry NRD planują wystawienie w br. dzieł z blisko 20 krajów. Najwięcej z nich to sztuki dramatopisarzy ze Związku Radzieckiego. Sporo będzie również sztuk polskich i bułgarskich.

Do interesujących zjawisk w życiu kulturalnym NRD należy rozwój współczesnej opery. Po cieszących się dużym powodzeniem wystawieniach w ostatnich latach takich oper jak „Leonce i Lena" Paula Dessau, „Kraj Bum-Bum" Georga Katzera czy „Buł i latająca księżniczka" Udo Zimmermanna, w br. przewidywane są dalsze inscenizacje współczesnych kompozytorów NRD.

(cz)

Kamena str. 6

WIERSZE DAWIDA SAMOJŁOWA

w przekładzie Bohdana Zadury

Ten 60-letni poeta jest uważany przez wielu krytyków za jedną z większych współczesnych indywidualności poezji radzieckiej. Jego twórczość nie jest obca polskiemu czytelnikowi — przed kilku laty w PIW ukazał się zbiór jego wierszy, obecnie Biblioteka Poetów przygotowuje kolejny tomik utworów Samojłowa.
Red.

* * *

Uczyłem się od nianiek mowy,
Od mleczarek, od zieleniarza,
Od piernik niosącej kupcowej
Z willi, co na Arbacie stała.

U kogo dziś brać lekcję taką?
Nie u nianiek, nie przy straganie
U ciebie, mój nocny ptaku,
U ciebie bezsenne czuwanie.

NA PRZEDMIEŚCIU

Park, w przedporannym tkwiąc nieładzie,
Śmieci wytrząsa ze swych włosów.
Śnieg pachnie ogórkową kadzią
I cieknie jak z ogórków rosół.

A wiosna rozwichrzona bieży,
Wilgotna niby pościel, goni,
Do mieszkań podmuch wwiewa świeży,
Gdy szklanym dzwonkiem tramwaj dzwoni.

Cóż, widać drzemka już przerwana,
Kogucik w głos w błękicie wrzeszczy,
Jak praczka drze się rozkrzyczany.
A więc jest kogut w Moskwie jeszcze!

Wesoły i pstro kolorowy,
Zadziorny, chwacki i krzykliwy,
Niech będzie, co ma być, bądź zdrowy
I piej, kogucie, póki żywy!

PÓŹNE LATO

Tak mnie do was ciągnie, podmoskiewskie przesieki,
Tak kocham tamtych sosen struny rozedrgane
I miodowego lata drewniane pasieki,
I mgły parnej pachnące mleko w krąg rozlane.

Czym uśmierzyć szarpiącą gorycz jarzębiny,
Przedjesiennego soku ściągającą cierpkość
I nieprzezwyciężony liści smorodiny
Aromat? Przeczuwają — że wkrótce uwiędną.

Pajęczynki jak pierwsza siwizna rozbłysną,
Na sośnie ptak samotny zakrzyczy ze strachem.
I pora już, by prozę rzucić nienawistną
I od poezji uciec za jednym zamachem.

* * *

Nagle się we mnie wiersz dziwaczny
Rodzi, pochwycić go nie umiem.
Słowa i twarze jakichś osób.
I znika czas lub zda się zastygł.
Nie, nie. Nauczyć się nie sposób
Siebie i bliźnich swych rozumieć.

RECENZJA

Wszystko jest w wierszach — gust i słowa,
Prawdziwa uczuć jest osnowa,

I styl, i sens, i rytm, i trop,
Nieobcesowy myśli tok,

Jest wszystko, to i tamto, tak,
Losu poety tylko brak,

Losu, co niby wyrok przy nim
I który zeń poetę czyni.

Śladami trzech muszkieterów

Bohdan Królikowski

BYŁO ich co prawda czterech, ale Monsieur Dumas — licho wie dlaczego — ograniczył w tytule swej książki liczbę bohaterów do trzech: pewnie wyznawał zasadę *omne trinum perfectum*. Śladami tych panów chodzę niemal codziennie: po Ogrodzie Luksemburskim, gdzie umawiali się na pojedynki, po Placu St. Sulpice, gdzie tłukli się z gwardzistami kardynała, ulicą du Vieux Colombier, gdzie w pałacu pana Treville d'Artagnan poznał trójkę swoich późniejszych przyjaciół. Zaglądam czasem na uliczkę Férou. Nie z potrzeby. Dlatego, że w jednej ze stojących tu kamieniczek Dumas ulokował Athosa. Za to nie ma już w Paryżu ulicy Grabarzy (des Fossoyeurs), gdzie mieszkał d'Artagnan. Może zmieniła nazwę? Może zlikwidował ją baron Haussmann (Francuzi wymawiają to „Osman" — całkiem po turecku), cesarski urbanista?

W Paryżu pamięta się o dzielnych muszkieterach. W jednej z odległych uliczek znalazłem nawet restauracyjkę „d'Artagnan". Bardzo to miłe. Ale w podróż nad Atlantyk wybrałem się nie tylko dlatego, że tym szlakiem (przez Blois, Tours i Poitiers) ciągnęli trzej muszkieterowie, a trochę wcześniej i pan d'Artagnan. Chociaż, kto wie? Gdybym kiedyś nie zaczytywał się opisami ich przygód pod hugenocką twierdzą, obleganą przez królewskie wojska, może i nie wsiadłbym tego deszczowego, marcowego ranka do expressu Paris — Austerlitz — La Rochelle?

Między Paryżem a Blois pociąg zatrzymał się na stacji Meung. Co ta nazwa mówi czytelnikom Dumasa? Oczywiście! Tu zaczęły się przygody d'Artagnana; przeżył pierwszą awanturę, oberwał zdrowo po kościach i stracił rapier. Meung. Miasteczko, jakich wiele w tym kraju. Szare domy, czerwone dachy. W środku gotycki kościół. Szkoda, że nie wysiadłem, może bym znalazł hotelik, gdzie zatrzymał się młody Gaskończyk ze swoim żółtym konikiem?

Dojeżdżam do Blois. Pociąg pędzi nad Loarą. Migają miasteczka, fermy, zagajniki. Zameczki. Znowu ten natrętny Dumas! Przecież gdzieś tu była posiadłość hrabiego de la Fere! Może tu? A może w tym drugim, z czerwonej cegły, z barokowymi wieżyczkami, wśród pięknego parku?

Już Blois. Tutaj d'Artagnan (na początku trzeciej części cyklu) pełnił wartę przy młodocianym Ludwiku XIV, rozmawiając z nim wśród nocy. Tu przyjeżdżał wicehrabia de Bragelonne do wybranki...

Prosto z dworca idę na zamek. Co za zamek! Znowu skojarzenia. Ale już inne: z Wawelem, Pieskową Skałą, Baranowem, może trochę i z Krasiczynem. Stanowczo nie mamy się czego wstydzić.

Zamek w Blois sterczy na skale ponad Loarą niby jaki Wawel. Jest nieco mniejszy, ale za to bardziej zróżnicowany stylowo. Idąc od stacji, widzi się barokowy pałac nad potężnymi murami i bastionami z szarego kamienia. Potem mija się część renesansową. Krużganki, wykusze, rzeźbione obramowania okien. A od spodu średniowieczny mur, zarysy baszt. Między zamkiem a miastem — placyk. Z fontanną, z cedrami, otoczony tarasem. Nad nim potężna, szara forteca, sterząca obok zamku. To królewski ogród. Nieszczególny pomysł. Gdyby tak dostał się tu chytry wróg, groziłby artylerią i zamkowi i miastu. Ale królom wolno było miewać fantazje. Nawet niebezpieczne.

Idę dalej. Znowu schody, taras: podejście do zamku. Teraz widać jego część gotycką; ceglaną z elementami z kamienia. Wchodzę na dziedziniec. Wzdycham, że Wawel nie taki. To znaczy, że nie zachowano w Krakowie choć jednego gotyckiego skrzydła. Bo tu i od strony dziedzińca współżyją zgodnie trzy style: ceglany gotyk ze swymi wieżyczkami (ale z renesansowymi kolumnami dolnego portyku), gotycka kaplica, renesansowe sterczyny drugiego skrzydła, zewnętrzne schody wypieszczone w jasnym kamieniu. No i trzecie skrzydło, trzeci styl: barok. Tu mieści się biblioteka miejska. Zaglądam do środka: monumentalne schody, zwieńczone u góry kopułą niby jaki kościół.

Czwarte skrzydło niedomknięte. Kaplica zamkowa wypełnia je tylko w połowie. Przechodzę na taras fortecy. Zaglądam do izby w baszcie, gdzie właśnie są prace remontowe. Robotnicy piją to samo wino tureńskie, co kiedyś królewskie straże. Patrzę z murów w dół. Na dachy miasta, na kościoły, na Loarę spiętą barokowym mostem. Ale właściwe miasto jest na wzgórzu, ponad zamkiem. Stąd widać sylwetę katedry z wieżą zwieńczoną barokowo, jakieś baszty, czerwone dachy.

Wchodzę do środka zamku. Do muzeum. Najpierw do części renesansowej, z czasów Franciszka I. Znowu wzdycham. Żebyż to Wawel przechował się w tak autentycznej, nieskażonej postaci! Ceglana, wytarta posadzka, na ścianach stare malowidła, obicia, albo boazeria, które każą myśleć o mistrzu, co nazywał się Colas Breugnon. Małe szybki. Ciemnawo. Sale wydają się niskie, bo przytłaczają je potężne, ciemne belki sufitów.

Wszędzie ogromne kominki, z herbami, pełne rzeźb i złoceń. Nad drzwiami supraporty. Trochę obrazów i rzeźb, ale nade wszystko meble. Surowe, ciężkie. Niektóre jeszcze gotyckie, inne już renesansowe. Ciemny dąb. Żadnej skóry, żadnych obić. Łoża z kolumienkami, zasłane, że tylko się kłaść i marzyć. Dalej małe salki, potem jeszcze mniejsze. W ścianach tajemnicze drzwiczki, ledwie widoczne. Jakoby tu gdzieś królowa Catherine de Médicis przechowywała swoje trucizny. Plątanina przejść, schodków, korytarzy. Można się zabłąkać. A zwiedzam właściwie sam. Raz tylko (bo wałęsałem się tu i z powrotem, bez końca) spotykam dwie Japonki, które rozpromieniają się na słowo „Pollando".

Osobliwe muzeum. Kiedy przychodzę tu jeszcze raz (po obiadowej przerwie personelu, którą wypełniam zwiedzaniem miasta), wpuszczają mnie do środka samego, zamykając za mną drzwi na klucz: Wyjdzie pan drugimi! — mówią mi. Co za zwyczaje! Mogę robić, co chcę: rozpalić w kominku (leżą tam ciężkie kłody, jakby specjalnie po to), siadać w starych fotelach, kłaść się w łożu, korzystać przy pisaniu z podróżnego sekretarzyka Franciszka I. Ale nic z tych rzeczy. Włóczę się, wywołując duchy panów tego zamku, widma pięknych kobiet i mordowanych tu książąt. Ciemnawo, pusto. Zdaje się, że za chwilę wejdzie tu jakaś postać w renesansowym stroju, albo wkroczą szwajcarskie straże z halabardami i wtrącą mnie do piwnic.

Druga część muzeum to komnaty gotyckie, z czasów Ludwika XII. Surowe, ceglane ściany, ale za to posadzki już z jasnego drzewa, a wystrój renesansowy, a nawet barokowy. Jaśniej tu, weselej niż w ponurych salach Franciszka I. I znowu chodzę sam. Strażnik chowa się za kotarą, pewnie pije wino. A ja mogę wszystko: dotykać, kraść (żadnych fotokomórek!), niszczyć, profanować. Nie robię tego, ale inni? Czy i oni nie nadużywają zaufania poczciwego strażnika?

A byłoby tu co kraść! Małe obrazki renesansowych Francuzów, Włochów, Holendrów (między nimi całkiem osobliwy Ter Borch). Eksponaty w gablotach. Osiemnastowieczne stroje z manekinów. Meble tu wygodniejsze; obite skórą, wyściełane. Na ścianach pogodne, szesnastowieczne freski lub miękkie kotary. Stare belki sufitów. Ozdobne kominki. Ale nastrój inny. Może dlatego, że — choć sale gotyckie — rozsiadł się tu duch baroku, że czuje się powiew wieku XVIII.

*

Jeszcze tego dnia wieczorem dotarłem do La Rochelle. Deszcz nie ustawał. Znalazłem hotelik (z jedną gwiazdką, ale czysty i wygodny) w starej kamieniczce. Nazywa się „Henri IV". Nad moim pokojem sterczą barokowe „rzygacze". Żadnych formalności. Pytają tylko, jak się nazywam.

Pada deszcz. Ba! Leje! Ale trudno. Nie po to tu przyjechałem, żeby siedzieć w hotelu. Idę więc do portu. Do starego, warownego portu, którego bronią (bo do dziś jest w użyciu dla żaglówek i spacerowych stateczków) ogromne dwie wieże z XVI wieku, potężna baszta-latarnia z XV, z gotyckim, ostrym zwieńczeniem, mury resztki bastionów. Idę wzdłuż obwarowań, przez nadbrzeżne parki i ogrody, zielone jak w maju. Gapię się na Atlantyk. To nic, że deszcz, że wiatr. Trzeba zejść na plażę, umoczyć rękę w wodzie (chyba bardziej słona niż w Bałtyku), nazbierać muszelek.

Stoję nad Oceanem długo. Nie mogę odejść. Wreszcie wracam do miasta. Jeszcze parę godzin poświęcam się, oglądając fikuśne kamieniczki z podcieniami prawie jak w Zamościu: gotyckie, renesansowe, barokowe — kościoły, z których dwa mają gotyckie wieże z resztkami murów — zburzone w czasie któregoś oblężenia — do których przybudowano barokowe budowle, wieżę bramną z zegarem. Jest tu (oczywiście!) i Hotel de Ville. Ale całkiem osobliwy. Od ulicy gotycki mur z blankami, wieżyczki, brama i furta niby do jakiejś katedry.

Wchodzę. W środku renesansowy pałacyk: wysoki dach, sterczyny, postacie bogiń w niszach, loggia, zewnętrzne schody, z boku taras — klejnocik! Tylko po co te fortyfikacje? W środku miasta... Żeby to był pałac królewski czy magnacki, ale ratusz? Stoi przed nim XVII-wieczny pomnik burmistrza (Jean Guiton — przez jedno „t", proszę Korekty!), który bronił miasta w 1628 roku. Zaciska pięść, lewą rękę wspiera na potężnym tapiorze. „Drżyjcie, muszkieterowie!"

Mam dość. W butach chlupie, portki mokre, woda leje się z brezentowej peleryny. Wracam do hoteliku. Kładę się i śnię o Blois, o warownym porcie i o kamieniczkach w La Rochelle.

Na trzeci dzień deszcz nie ustaje. Żegnam stary port. Jadę do Poitiers. Nie jest to co prawda ani nad Atlantykiem, ani nad Loarą, ale po drodze. Niestety, pada i tu, a w dodatku miasto na wzgórzu (nie ma się co dziwić, że Karol Młot odparł tu Saracenów, po prostu nie chciało się im drapać pod górę i zawrócili do Hiszpanii, zostawiając mieszkańcom miasta zamiłowanie do arabesek). Niedziela. Jestem już bardzo zmęczony. Tym bardziej, że nie tracę czasu na wysiadywanie po restauracjach: zjadam w biegu kanapkę, zagryzam czekoladą, pomarańczą. Wstępuję do barów na piwo czy herbatę. I znowu zwiedzam. A w Poitiers aż się roi od romańskich kościołów!

Opisać je? Jak? Najchętniej bym narysował, cóż, kiedy nie potrafię. Patrzę więc tylko i patrzę. Staram się zapamiętać sylwety, rzeźby na kapitelach, na portalach, na frontonach, wieże, kapliczki... Ileż tu tych kościołów! Notre Dame, święta Radegonda, św. Hilary, święty... Tu wieża, tam absyda, tu wnętrze aż oczy rwie. Tylko się dziwuj, człowieczel A jeszcze katedra. Bardzo wczesnogotycka, surowa, ascetyczna. Przy niej (drobnostka!) IV-wieczne baptysterium św. Jana. Najstarszy kościół we Francji! Szkoda, że zamknięty. Zresztą tu nikt niczego nie zwiedza. Daleko od Paryża, a w dodatku ten deszcz. Włóczę się pustymi uliczkami. Oglądam Palais de Justice (gotyckie gmaszysko z basztami, a od przodu klasycystyczny portyk), barokowe pałace ratusza i prefektury. Pora do pociągu. Z ulgą lokuję się w miękkim, „lotniczym" fotelu, wyciągam nogi.

Pociąg jedzie do Paryża. Odczuwam pokusę, żeby już nie wysiadać, żeby pójść do wagonu restauracyjnego i korzystać z dobrodziejstw bogatego menu o całkiem umiarkowanych cenach (roznoszą po wagonach reklamy). Ale, precz pokusa! Mam jeszcze w planie Tours. A zatem wysiadam. Tu — na moje szczęście! — nie pada. Co za poczciwe miasto! A w dodatku leży nad Loarą!

Nie mam się co śpieszyć, do Paryża odchodzi wieczorem jeszcze kilka expressów. Idę do katedry. To przecież jedna z gotyckiej czołówki! Wysoka (obie wieże mają po 70 m!), wysmukła, elegancka. Wybudowana w trzech fazach gotyku. We wnętrzu oglądam przede wszystkim witraże. Aż mienią się w oczach od czerwieni, od błękitu, od żółtości i zieleni. Gotyk bez witraży nie jest jednak sobą. Jasne, kamienne wnętrza pozbawione fioletowych odblasków wiele tracą. A tu są witraże. Przeważnie autentyczne: XIII-, XIV-, XV-wieczne. Oglądam z bliska. Podziwiam ekspresję gestów, mimiki. Wczytuję się w „Biblię pauperum". Potem odchodzę. Oglądam z daleka. Teraz już tylko abstrakcja. Tylko efekty kolorystyczne. Znakomite. Mają rację ci, co twierdzą, że malarstwo to głównie kolor.

Przy katedrze wirydarz. Niestety, częściowo zburzony, uzupełniany w czasach Renesansu. Z drugiej strony, przy pałacyku biskupim, resztki murów miejskich, a pod nimi przeogromny cedr, jak rozrosły dąb. Idę nad Loarę. Stoi tu zamek z resztkami gotyckich elementów, przebudowany na koszary. Na Loarze barokowy most. Niestety, w połowie zburzony.

Trzeba wracać. Ciemnieje. Patrzę jeszcze na Loarę, na kościół, uliczki i katedrę. Idę do pociągu gwarnymi ulicami (nie pada deszcz!), na których przechodnie niewiele sobie robią ze skarbów swego miasta. Żyją dniem dzisiejszym. Mieszkają w nowych dzielnicach albo w zmodernizowanych kamieniczkach. Taka jest ta Francja!

Julita Gębka

* * *

Już kwiecień
co dzień przyklejam do znaczka
zieloną kopertę
Już bliska pąków brzemienna otyłość
Co dzień chcę zmieścić w kopertę
całą twoją siebie
całą swoją...

* * *

Ja myślę — więc mnie nie ma
A ja? Ja wciąż jeszcze tylko myślę
i zagrodziłaś dłońmi czterema
zbudowałaś swoje własne szczęśliwe kłopoty
Ty wzięłaś sobie część świata

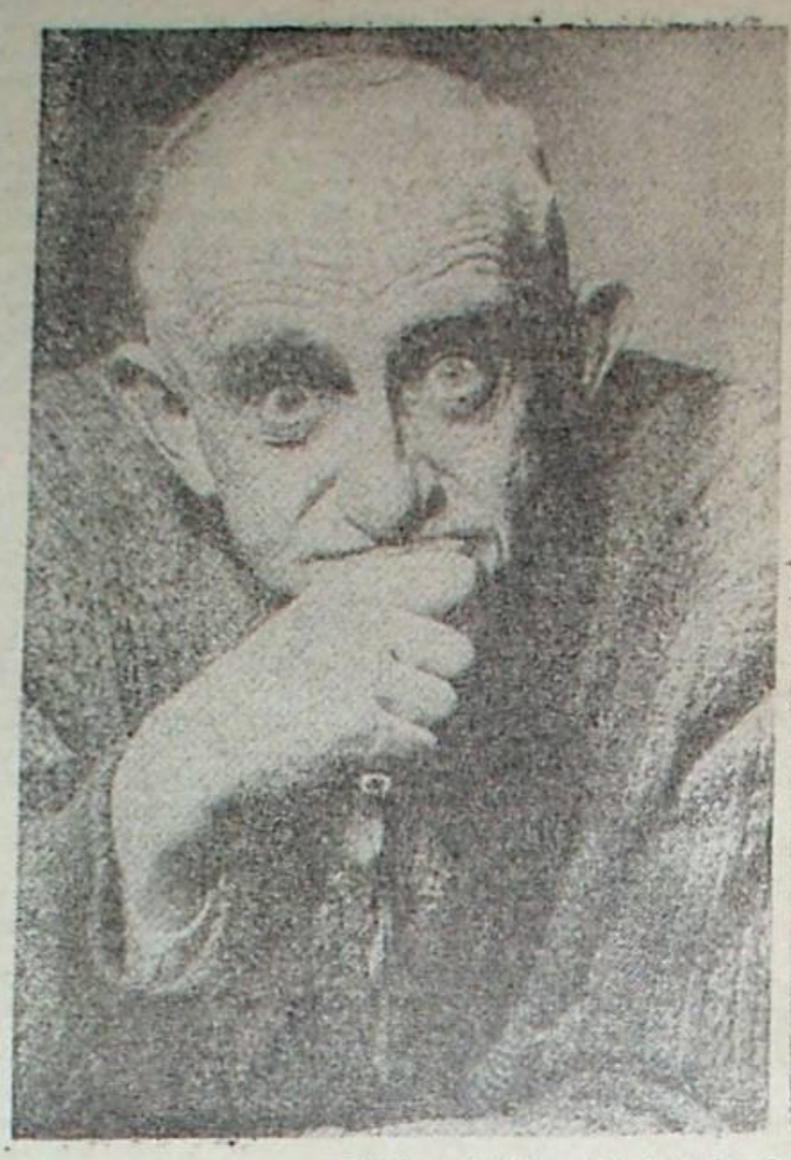

Wiktor Ziółkowski był bardzo zadowolony ze swoich zdjęć. Fot. Edward Hartwig, repr. Waldemar Stępień

Dokończenie ze str. 1

XVII i XVIII wieku itd. Wiadomo jednak, że dla historyków, którzy zechcą odtworzyć życie artystyczne regionu, zbiór Pański stanowić będzie po uporządkowaniu bezcenne źródło informacji.

Trwające obecnie w Muzeum Okręgowym na Zamku w Lublinie prace przy konserwacji zbiorów nie przebiegają łatwo i przysparzają muzealnikom znacznego trudu. Muzeum otrzymało je bowiem w stanie wielkiego zniszczenia.

Przez kilkadziesiąt lat przechowywał je Pan w swym mieszkaniu nr 14 w kamienicy Klonowica przy Rynku Starego Miasta w Lublinie w warunkach coraz bardziej katastrofalnych. Nie sądzę, aby ułożył się z Pańskiej pamięci obraz tego mieszkania — wejście od krużganków wewnętrznego patio, prosto z balkonu, wewnątrz trzy pokoje w amfiladzie. Za Pańskiego życia całą powierzchnię mieszkania zajmowały zbiory, które w końcu ,jak pamięta Pański przyjaciel, były wojewódzki konserwator zabytków, Henryk Gawarecki, zajęły i łóżko, tak że zdejmował Pan teczki i pudła na podłogę, by rankiem znów je przenosić, bo uniemożliwiały poruszanie się po domu.

Blisko dwadzieścia lat temu omal nie zawalił się Panu sufit w tym mieszkaniu. Powstały w nim wówczas dwie dziury prosto na strych nad dwoma pokojami, a w jednym z nich ustawiono 17 stempli sosnowych podpierających strop wybrzuszony do środka. Stempel, dziury, a na dodatek wybite okna pozostały do dziś.

Przez kilkanaście lat starał się Pan o zamianę mieszkania, lecz tylko Pański upór nie pozwalał na przeprowadzkę, choć władze miasta bodajże czterokrotnie oferowały lokale zastępcze. A gdy wreszcie znaleziono odpowiedni, porządny lokal w budynku na rogu ulic Dymitrowa i Staszica, umarł Pan lekceważąc w bezwzględny sposób tę przychylność władz miasta.

Zbiory Pańskie pozostały zatem na Starym Mieście.

Zmuszony jestem przypomnieć, tym razem w imieniu Rejonowego Cechu Rzemiosł Różnych w Lublinie, będącego właścicielem kamienicy Klonowica, że od kilkunastu lat chciano wyekspitować Pana, wyremontować mieszkanie i przejąć je na własność Domu Rzemiosła. Zaś od momentu Pańskiej śmierci powstał problem usunięcia z mieszkania zbiorów. Inaczej nie można było rozpoczynać remontu. Toteż Cech wystąpił dwa lata temu o natychmiastowe przeniesienie zbioru do innego pomieszczenia, gdyż walący się strop groził ruiną całego piętra. Te starania zostały uwieńczone powodzeniem, i cóż z tego, że do remontu nie przystąpiono do dziś? Do mieszkania między stemple i rupiecie wstawiono jednak kilka niepotrzebnych starych stołów, a ostatnio choinkę z noworocznej zabawy, które to drzewko doskonale się przechowuje mimo upływu trzech miesięcy.

Szanowny Panie, w dniu 18 września 1978 r. wojewódzki konserwator zabytków, p. Maliszewski, pisał do Państwowego Biura Notarialnego: „[...] Wiktor Ziółkowski zmarł, nie pozostawiając żadnych dyspozycji dotyczących dalszych losów swoich zbiorów. Z uwagi na wyjątkowo złe warunki, w jakich przechowywane są zbiory, Wojewódzki Konserwator Zabytków wnosi o przeniesienie wszystkich znajdujących się w mieszkaniu przy Rynku 2/14 przedmiotów, mających cechy dóbr kultury, do Muzeum Okręgowego, gdzie byłyby przechowane w odpowiednich warunkach do czasu rozstrzygnięcia przez Sąd sprawy spadkowej".

To był początek kłopotów z dziełem Pańskiego życia.

A propos, czy przypomina Pan sobie powiedzonko, którym szermował za życia:

— Ho, ho, gdy umrę, to się dopiero niektórzy zdziwią, jakie posiadam zbiory.

Czy pamięta Pan, jakimi to odpowiedzialnymi zadaniami obarczał pod koniec swego życia (gdy pozostawił Pan mieszkanie przy Rynku, nie mogąc z powodu złego zdrowia przebywać tam) swych przyjaciół — Henryka Gawareckiego i red. Leszka Gzellę z „Kuriera Lubelskiego" — prosząc, by czasem zajrzeli do owego mieszkania i przynieśli ten czy inny potrzebny Mu przedmiot? Ale były to przyjacielskie przysługi, nie urzędowe, więc gdy wtrą iły się urzędy, czyż mogli oni obaj cokolwiek zdziałać z czystej sympatii do właściciela kolekcji? Czy pamięta Pan owych kilka zalakowanych paczek złożonych w depozycie w Muzeum Okręgowym, w których — jak sam Pan mówił — były m. in. całkiem nowe papucie dla dyrektora p. Nasalskiego? Nic w paczkach nie było cennego, ot co, różne bezwartościowe drobiazgi, np. sznurowadła, ubrania, puste notesy itp. To były kpiny z poważnej instytucji? Czy przypomina Pan sobie wszystkie złośliwe uwagi o niekompetencji pracowników kultury, które Mu darowano z dobroci serca i w uznaniu zasług w aktywizowaniu przez lata życia artystycznego miasta? Nie zapomniał Pan też chyba z wielkim talentem rysowanych przez siebie w latach 20-tych karykatur, już wówczas psujących krew zacnym obywatelom miasta. Był Pan malarzem i przy malarstwie należało pozostać, a nie obarczać twórców lubelskiej kultury swymi historycznymi zbiorami.

Czy jest coś dziwnego w fakcie, że muzeum zareagowało negatywnie na pismo wojewódzkiego konserwatora zabytków? Przecież prowadzono akurat remont i nie znalazłaby się żadna sala do przechowania zbiorów. Może Pan w zaświatach słyszał nieodpowiedzialne i nieoficjalne wypowiedzi niektórych pracowników Muzeum Okręgowego, że, wbrew twierdzeniom dyrekcji, pomieszczenia takie znalazłyby się jednak? W takim razie oficjalnie zawiadamiam Pana, że Muzeum posługuje się znakomitymi przepisami, które pozwoliły przejąć zbiory dopiero po zakończeniu sprawy spadkowej i przekazaniu ich na rzecz skarbu państwa. To są dobre przepisy i czyż dyr. Nasalski, jak i dyr. A. Gauda nie są czyści jak kryształ powołując się na nie?

Szanowny Panie, w tej sytuacji konserwator już nie naciskał, innego pomieszczenia równie korzystnego nie znaleziono, a Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego nie mógł uczynić nic innego, jak przystać na propozycje Rejonowego Cechu Rzemiosł Różnych i zgodzić się na przeniesienie pod pieczą komornika X rewiru, T. Malińskiego, Pańskich zbiorów do piwnicy Domu Rzemiosła. Komornik dokonał spisu „masy spadkowej" i choć spis ten budzi dziś wesołość muzealników, tak niefachowo jest sporządzony, specjaliści — zarówno konserwatorzy, muzealnicy i bibliotekarze — zaufali komornikowi, jak sejfowi w banku. Przecież nie można podważyć ufności w urząd komornika. Pozostaje mi tylko Szanownego Pana zapytać, dlaczego spis był czyniony bez powołania przez Sąd Rejonowy w Lublinie komisji ekspertów? Mogli być nimi zarówno konserwatorzy zabytków (miejski lub wojewódzki, jak i pracownicy Muzeum Okręgowego lub Biblioteki im. H. Łopacińskiego czy Muzeum im. J. Czechowicza w Lublinie. Nic o tym nie wiadomo, ale z poczucia obowiązku stróży dóbr kultury zabiegali o to, ale skoro nikt ich nie prosił, cóż mogli uczynić?

Ogromny Pański zbiór cudem przetrzymał dwie chaotyczne przeprowadzki, dwukrotne zrzucanie cennych papierów w kosze i wysypywanie ich na podłogę. Ryzyko, że sufit się zawali na Pana i Pańską kolekcję nie było zbyt wielkie, a na dodatek to, że chorował Pan poważnie pod koniec życia, podają niektórzy w wątpliwość, więc czy tak trudno było uporządkować zbiór, rozłożyć w paczki, pudła, związać i na plecach zanieść, gdzie trzeba? Widzi Pan teraz, ilu ludzi ledwie sobie z tym dało radę. Przeżył Pan 85 lat jako zbieracz, a tak prostych spraw zaniedbał na końcu. W rezultacie kolekcja przeleżała ponad rok w piwnicy, która nie ma wentylacji, za to jest niezmiernie wilgotna — grzyb przeżera grube, odwieczne ściany na wylot. Nie było Pana wówczas, tak jest. Można więc usprawiedliwić fakt, że nie było przy owych przenosinach do piwnicy również miejskiego konserwatora zabytków, p. J. Janiukowej, która mogłaby orzec, że w tym lochu zbiory niechybnie zgniją, zagrzybieją, spleśnieją, zaczną się rozkładać. Stało się, co musiało się stać, więc dziś suszy się je w muzeum partiami przez dziesięć dni, stosuje lampy

LIST W ZAŚWIATY

bakteriobójcze i inne cuda techniki konserwatorskiej.

Nie zatroszczył się Pan o swe zbiory, Panie Wiktorze — taka jest prawda. Do kogo zatem mieć pretensje ,że — jak głosi nie tylko plotka — trafiły one do Muzeum Okręgowego znacznie uszczuplone? Dostarczono je tam dnia 4 lutego bieżącego roku, wywożąc z piwnicy kilka ogromnych koszy dokumentów. Transport kosztował 6 tys. złotych i obciążył finanse cechów rzemieślniczych. Ponieważ cechy chcą, by im tę kwotę zwrócono, tylko nie wiedzą, kto ma to uczynić, pozostawiam ów kłopot szczególnej Pana uwadze.

Szanowny Panie, rozprawa o roszczenia spadkowe trwała blisko rok, choć podobno od razu było oczywiste, że roszczenia są bezzasadne i zbiór przejmie skarb państwa, ale to tak pogmatwało sprawę, że Muzeum Okręgowe nie chciało brać w depozyt czegoś, co mogłoby im nie przypaść w udziale. Co by było jednak, gdyby rozprawa się przeciągnęła? Konserwatorzy zabytków dziś biją się w piersi przyznając, że popełniono tu błąd w sztuce chronienia dóbr kultury, więc widzi Pan jaka jest rzetelność. Przedstawiciele Sądu Rejonowego nie musieli się znać na wartości dzieł sztuki i archiwaliów. Rzemieślnicy nie są kompetentni, by orzekać, że ich piwnica nie nadaje się na magazyn. Biblioteka im. H. Łopacińskiego i tak przejmie znaczną część pańskich zbiorów. Pewnie część ich trafi do Muzeum im. J. Czechowicza. Wydział Kultury i Sztuki UW jest w porządku, bo płacił Panu emeryturę. A jeszcze poza tym są przepisy, Szanowny Panie — jedna z najlepszych w świecie polska ustawa o ochronie dóbr kultury narodowej. Sam Pan zatem rozumie, że wina za niedbalstwo wobec zbiorów leży po Pańskiej stronie, bo w Lublinie wszyscy robili, co mogli.

Jeśli jednak zechce Pan głosem z zaświatów przypomnieć, że pomimo braku odpowiednich urzędów, przepisów, biuralistów i innych ceregieli administracyjnych w okresie niewoli narodowej, w czas zaborów ludzie, a nie urzędy i przepisy, uchronili skarby kultury narodowej od zaprzepaszczenia, to będę musiał stwierdzić, że trudno między Panem a doczesnością odnaleźć płaszczyznę porozumienia.

Z poważaniem

Bronisław Kowalski

Lublin, 10 marca 1980 r.

P.S. Wystawa Pańskich zbiorów zostanie po ich zakonserwowaniu i posegregowaniu zorganizowana w Muzeum Okręgowym w Lublinie.

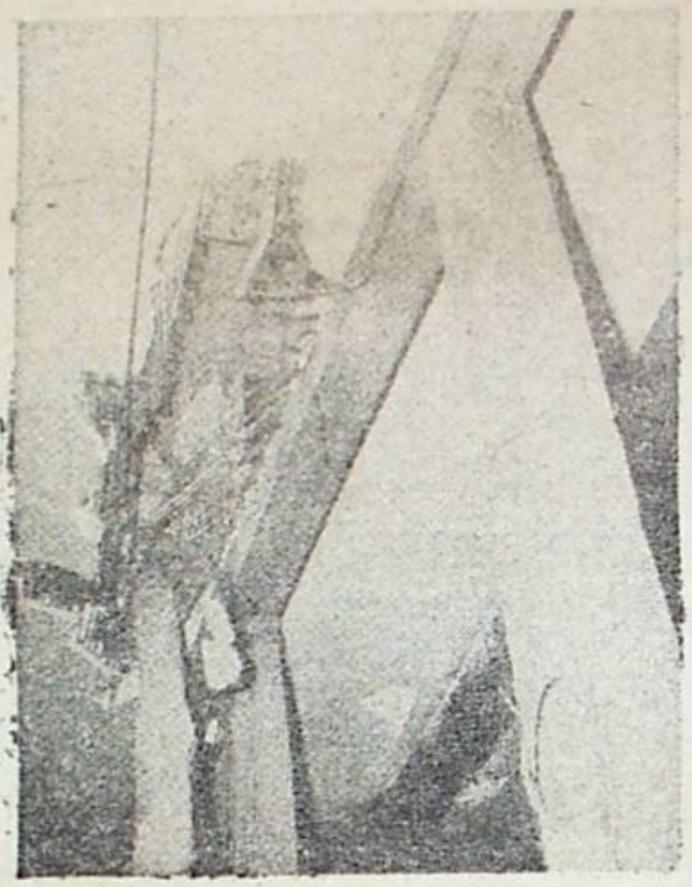

Omal nie zawalił się sufit...

Zbiór partiami suszy się w muzeum...

Fot. W. Stępień

NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

RÓŻNE okoliczności sprawiły, że w ostatnim czasie nie mogłem systematycznie obserwować koncertowej aktywności Filharmonii. Miałem przeto szereg wątpliwości, czy wypada oddać do druku *Notatnik* niepełny, jakby zdeformowany, traktujący o sprawach w pewnej mierze przebrzmiałych. Powstał w końcu tekst cokolwiek opóźniony i w zakresie doboru tematów nieco fanaberyjny.

Przeszły już dwa miesiące nowego roku, ale nie potrafiłbym wskazać koncertu, który byłby wydarzeniem tego okresu. Nie była nim, w moim przekonaniu, *Pasja według św. Jana (BWV 245)*, wykonana przez solistów z NRD (Gisela Burkhardt — sopran, Heidi Biesch — alt, Albrecht Lepetit — tenor, Wolfgang Hellmich oraz Gothard Stier — baryton), chór mieszany Uniwersytetu Karola Marksa w Lipsku, orkiestrę Filharmonii Lubelskiej pod batutą Maxa Pommera. Pasję tę skomponował Bach do tekstu Bartholda Brockesa, uważanego podówczas za arcydzieło poezji religijnej. Brockes przerobił słowa Ewangelii na poezję — i to, jak twierdził Spitta, wyjątkowo napuszoną. Lipski kantor zmuszony był więc wrócić do oryginalnego tekstu Janowego, a przy okazji utemperował też niczym nie powściągniętą, bujną stylistykę arii. Przewaga elementów dramatycznych w Ewangelii św. Jana skłoniła Bacha do skomponowania ośmiu arii, pełniących funkcję liryczno-kontemplacyjnych przerywników. Mimo tej dramatyczności myliłby się ten, kto chciałby uznać *Pasję Janową* za rodzaj opery religijnej: nie ma tu zupełnie teatralności, a religijne treści wyrażone są w sposób maksymalnie obiektywny.

Nie wątpię, że wykonanie Bachowskiej pasji w Lublinie jest faktem zasługującym na podkreślenie. Przede wszystkim jego dzieła wokalne pojawiają się na krajowych estradach niezbyt często, udział zaś niemieckich solistów i dyrygenta pozwala oczekiwać co najmniej wierności stylowi Bacha, krajowi bowiem wykonawcy grają i śpiewają go tak, jakby to był Haendel (analogicznie postępuje się u nas często z Haydnem i Mozartem). Goście z NRD sprezentowali nam *Pasję*, by tak rzec, *alla tedesca*: solidną, obmyślaną precyzyjnie, trochę chłodną i zrutynizowaną, utrzymaną w tempach umiarkowanych. Piątka śpiewaków dość wyraźnie różniła się możliwościami: najbardziej podobał mi się tenor (prawdziwy tenor bachowski w stylu np. Häfligera), zaraz potem sopran, niezbyt duży, ale o miłym brzmieniu i pewnej górze; pozostali radzili sobie lepiej lub gorzej, pozostawiając wszakże wrażenie niedosytu. Największy żal miałem o przepiękną arię *Es ist vollbracht*, w której stereotypowy sentymentalizm zastąpił, czy też wyparł, nastrój bezgranicznego i cichego smutku, szlachetności i wzniosłości spraw ostatecznych. Chór raczej był amatorski (w tym przypadku status organizacyjny przesądza o ocenie artystycznej), co dało się poznać już po usterkach w początkowym *Herr unser Herrscher*. Max Pommer to dyrygent budzący zaufanie, kompetentny, uważny i czujny. Pod jego batutą filharmonicy lubelscy mieli jeden z lepszych występów w bieżącym sezonie.

Napisałem na wstępie, że trudno mi wytypować *chef d'oeuvre*; łatwiej, niestety wskazać momenty wątpliwe. Trudno zrozumieć, dlaczego od paru miesięcy w naszej Filharmonii pianiści grywają prawie wyłącznie Chopina. Największe nawet estrady nie umieściłyby w programie jednego sezonu czterech wykonań *Koncertów*. U nas zaś, widząc na afiszu nazwisko pianisty, zaczynam wyobrażać sobie panią Alicję, która przeprasza za zmiany w programie i zapowiada *Koncert f-moll*. Myślę, że jest na świecie jeszcze pafu dobrych kompozytorów i od czasu do czasu można by ich zagrać. Stała obecność Chopina w naszej świadomości kryje zresztą w sobie pewne niebezpieczeństwo: skoro każdy może posłuchać Argerich, Pollniego, Rubinsteina czy Zimmermana, trudno zwieść go produkcją przeciętną. Znakomite kreacje wykonawcze są dziś dostępne dzięki płytom i audycjom radiowym; jedynie telewizja dokłada starań, abyśmy z muzyką tzw. poważną stykali się możliwie najrzadziej i dlatego artystkę Majewską oglądamy trzy razy w tygodniu, a Zylis-Garę lub Zimmermana raz w roku albo wcale. Zapewne więc pianiści, którzy grają Chopina niezbyt interesująco, liczą na to, że słuchać ich będzie audytorium wychowane na telewizji.

Poważne wątpliwości wzbudził we mnie recital Janusza Olejniczaka. Był to po prostu niespójny pod jakimkolwiek względem montaż utworów (m. in. scherzi *b-moll* i *h-moll*, polonez *As-dur*, parę nokturnów, etiud i walców). Pisałem już kiedyś, że jego „intuicyjny" sposób gry jest bardzo ryzykowny, gdy pewnym umiejętnościom technicznym nie towarzyszą przemyślenia interpretacyjne i kształtująca się osobowość artystyczna. W omawianym recitalu doszła do tego nieoczekiwana nonszalancja i „odgrywanie" kolejnych kompozycji. Budzi to niepokój: przecież Olejniczak to wciąż jeden z naszych największych talentów pianistycznych. Koncertuje od dziesięciu lat, ale repertuar jego jest dość wąski. Oby nie dołączył do tych pianistów polskich, którzy po sukcesie w Konkursie Chopinowskim grają tylko Chopina (często coraz gorzej).

Inna zupełnie sprawa z lublinianinem Waldemarem Malickim. Nie wiem, jakie względy skłoniły go do grania *Koncertu e-moll*, skoro utwór ten nie sprzyjał ujawnieniu jego dużych możliwości i talentu. Odnosiło się wrażenie, że Malicki nie potrafił narzucić słuchaczom swojej wizji utworu. Pozostała więc duża biegłość techniczna, którą pianista eksponował, i ładny, pełny ton — trochę za mało, jak na Chopina... Dobrze wypadła orkiestra, zarówno w akompaniamencie *Koncertu e-moll*, jak i w *IV Symfonii c-moll „Tragicznej"* Schuberta, którą Adam Natanek zaliczyć może do najlepszych swoich kreacji. Kolejnym sukcesem filharmoników okazało się wykonanie dwóch rzadko grywanych kompozycji Richarda Straussa: *Koncertu na obój i małą orkiestrę* (Jan Arnal) oraz *Concertino na klarnet i fagot z towarzyszeniem smyczków i harfy* (Andrzej Mazur i Henryk Bystrzejewski). Członkowie Tria Stroikowego potwierdzili tu swoje duże predyspozycje solistyczne.

Recital Leszka Kędrackiego (klawesyn) i Andrzeja Orkisza (wiolonczela) wypada zaliczyć do najciekawszych, jakie dały się ostatnio słyszeć w Lublinie. W części pierwszej Kędracki wykonał utwory J. P. Rameau (*Pieces de Clavecin* z 1731 r.), Domenica Scarlattiego (*Sonaty C-dur* i *B-dur*), Sebastiana Albero (dwie sonaty) oraz *Fandango* Padre Antonio Solera. Po przerwie Andrzej Orkisz zagrał *III Suitę C-dur na wiolonczelę solo (BWV 1009)* Jana Sebastiana Bacha, a potem wraz ze swoim partnerem *Sonatę E-dur* Giuseppe Valentiniego. Była to prawdziwa uczta dla miłośników dawnej muzyki — obaj soliści doskonale znają ducha, unoszącego się nad dziełami starych mistrzów. Kędracki jest klawesynistą w stylu włosko-francuskim, gra jego pełna jest wdzięku, lekkości, zmiennych nastrojów — od lirycznej zadumy do roztańczenia. Bach Andrzeja Orkisza nie okazuje się tak kontrowersyjny, jak Bach Szafrana; więcej tu pokory wobec kompozytora, którego wielkość nie wymaga indywidualnych dodatków. W *Sonacie* Valentiniego zaś doskonała współpraca solistów potwierdziła zaobserwowane wcześniej walory ich gry.

Dalsza część stołu

Dokończenie ze str. 1

jakoś na ten szczegół uwagi. Za to ...czesny grafik „Kameny", Jaś Padée, ...yrysował, już bez żadnego błędu, ...owcipnie zakomponowany napis: „We...łych Świąt".

Obok zdjęcia w lewym górnym ro...u pierwszej kolumny, był wiersz Jana ...arii Gisgesa „Zielony Chram", a ni...ej — fragment przygotowywanej do ...uku przez Adolfa Lekkiego powieś... „W tyglu", zatytułowany: „Życie jest ...iłe". W dalszej części numeru, obok ...azwisk starszych lubelskich literatów ...publicystów, kłębiło się sporo młodzieży. Stanisław Michalczuk młody ...istoryk sztuki, pisał o eksponowanej ...właśnie w Lublinie wystawie malar...wa J. Mazianskiego, E. Rosensetein i ... Romanowskiego, informując na ...stępnie, co to jest „informel", i do...ając, że prezentowane dzieła są *obra...em malarstwa ostatnich lat.*

Drukowała jedno ze swych mini-opo...iadań Anna Markowa, a młody lite...aturoznawca Tadeusz Kłak, polemizo...wał z Maciągiem na temat jego oceny ...ydanych niedawno „Wierszy" Alek...andra Wata. Obszerną recenzję teatral...ą zamieścił niedawny jeszcze lublinia...in, Konrad Eberhardt. Odsądzał w ...iej od czci i wiary przedstawienie „Pana Twardowskiego" w Teatrze Mu...ycznym oraz „Domu lalki" Ibsena w ...eatrze im. Osterwy. *Jedynym osiąg...ięciem artystycznym lubelskiego ...rzedstawienia „Nory"* („Domu lalki") — pisał Eberhardt — *jest Zofia Ku...ówna w tytułowej roli.* Tak, niedaw...o przybyła wówczas do Lublina z Kra...owa młodziutka jasnowiosa Kucówna, ...właśnie w Lublinie dała zapowiedź ...wego talentu i stąd wystartowała na ...warszawskie sceny.

Wielkanocny numer „Kameny" z 1958 ...oku był jakby odbiciem tego co się ...worzyło wówczas w łonie i wokół pi...ma. Od 1 stycznia 1957 r. „Kamena" ...rzeszła z formatu broszurowego na ...azetowy i z miesięcznika stała się ...wutygodnikiem. Wraz z ogromnym ...ożywieniem ówczesnego życia kultural...nego i artystycznego zaczęła się szybko ...worzyć wokół pisma, dającego teraz ...zybszą możliwość publikacji, młoda ...adra współpracowników.

Zamieszczali artykuły krytyczne i re...nzje niedawni absolwenci polonistyki: ...eneusz Opacki, Tadeusz Kłak i Alina ...leksandrowicz, pisywała reportaże ...lina Tomaszewska, a recenzje pla...tyczne — Janina Stasiakówna, Hanna ...taszkowska, Maria May, Stanisław ...ichalczuk oraz Mirosław Komendec...i. Ich nazwiska i działalność publi...styczna wiązały się z prężną lubelską ...rupą plastyczną „Zamek". Ukorono...waniem owego „nachylenia" ówczesnej „Kameny" ku plastyce miała być po...stała w rok później z inicjatywy Je...zego Ludwińskiego, i przez niego re...agowana, wkładka plastyczna „Struk...ury". Od pewnego już czasu współ...racowali z „Kameną" młodzi lubelscy ...literaci: Anna Markowa, (która w 1959 ...oku miała jako pierwsza z tego grona ...adebiutować tomikiem opowiadań „Akwarium"), Janusz Danielak, Danuta ...Bieniaszkiewicz, Józef Zięba, Stanisław ...Veremczuk i inni.

Wspominam tak wyraźnie właśnie ...rok 1958 nie tylko, że wiązała się z ...im dwudziesta piąta rocznica pow...tania „Kameny", i że był to okres, ...iedy nowy dwutygodnik okrzepł już ...ako tako po ubiegłorocznej reorga...izacji, ale także ze względów osobi...tych. Właśnie w pierwszym, stycz...niowym numerze „Kameny" z 1958 r. ...debiutowałem. Pani Maria Bechczyc...tadnicka, ówczesny redaktor naczel...y „Kameny", popularnie i dość obce...owo zwana w lubelskich kręgach ...rtystycznych „Mańcią" (choć prze...roczyła już stateczną siedemdziesiąt...ę), miłościwie przyjęła wówczas do ...druku dwa moje opowiadanka: „Jak ...ę ksiądz Matrasek załamał" oraz „Duchy".

Byłem wtedy, jak wszyscy moi ...ówieśnicy, rozczytany zachłannie w ...objawionych nagle naszemu pokole...iu Gombrowiczu i Witkacym oraz w ...indujących się właśnie na piedestał ...Iroźku i Mironie Białoszewskim, ...oje opowiadania stanowiły coś w ...odzaju „wypadkowej" tych wszy...stkich autorów, plus lekkie popłuczy...y po, odchodzącym w dal, zachwy...eniu Gałczyńskim. Miały mieć owe ...powiadania głęboko tragiczny, filo...oficzny sens, przy pozornie beztroskiej, pure-nonsensowej formie. Za...rotegowany przez Ankę Markową i ...anusza Danielaka jako „młodzie...olny", siedziałem cały spięty przed ...urkiem pani Marii, w „starej" redakcji przy ulicy Granicznej, w oczekiwaniu na wyrok. „Mańcia", czytając moje teksty, co pewien czas wybuchała krótkim chichotem i rzucała przez ten chichot swym wysokim, śpiewnym głosem: „Oj, śmieszne, to, śmieszne; z pana urodzony humorysta!" Słuchałem i serce mi krwawiło. Ja — humorysta! To przecież krzyk wielki, ostateczny, mojej duszy! „Ale, niech mówi co chce — myślałem — byle wydrukowała!". I tak się stało.

Markowa i Danielak należeli do pokolenia o kilka lat starszego, byli już po studiach, pracowali. Obok tych „renomowanych", początkujących pisarzy, członków Koła Młodych przy Lubelskim Oddziale ZLP, istniała w Lublinie cała plejada „najmłodszych" adeptów poezji i prozy. Jeszcze pałętających się pomiędzy studiami a artystyczną kawiarnią, piszących wiersze i jednocześnie przygotowujących „ściągi" przed poważniejszymi kolokwiami, wzdychających do Euterpe i ... klejących się do jakiej bądź dziewczyny na cosobotnich, pękających od niewyżytego erotyzmu, tanecznych „holówkach" w domach studenckich.

Jeżeli członkowie Koła Młodych stanowili jakby **dalszą część** długiego redakcyjnego stołu „Kameny" (o którym wspominałem przed dwoma laty, z okazji czterdziestolecia naszego dwutygodnika), to my, najmłodsi, kłębiliśmy się dopiero gdzieś na samym końcu, na stojąco, od czasu do czasu tylko wpuszczani za krzesło.

Do najbardziej charakterystycznych postaci spośród ówczesnych najmłodszych poetów związanych z „Kameną" należała nierozłączna para: Andrzej Tchórzewski i Andrzej Turczyński. Obydwaj piekielnie zdolni, inteligentni, oczytani w autorach, o których nie bardzo nawet wiedzieli ich nauczyciele i wykładowcy, obydwaj pełni niesamowitych pomysłów, szokujących nieraz otoczenie.

Andrzej Tchórzewski, niewysoki, drobnej budowy, czarny, był wówczas pod urokiem poezji Ezry Pounda. Wprawił kiedyś w prawdziwy popłoch komisję złożoną z lubelskich działaczy kultury, która miała zawyrokować, czy posiada on dość wysokie kwalifikacje, aby objąć stanowisko kierownika świetlicy w jakiejś peryferyjnej dzielnicy Lublina. W pewnym momencie odwrócił role: zaczął egzaminować ... komisję z wiadomości na temat nowoczesnej poezji anglosaskiej oraz najnowszych prądów w światowym malarstwie. Odniósł duży sukces, ale za karę upragnionego stanowiska nie otrzymał. Uznano go za „zbyt mądrego". Jego wiersze były chłodne, „intelektualne", pełne wyszukanych metafor. Tomiki, jakie później wydał, nosiły tytuły: „Wnętrze kwiatu", „Dłoń dotyku" ... Stanowczo wolałem, już wówczas wyróżniające się, przekłady Andrzeja z angielskiego i hiszpańskiego, choć złośliwi twierdzili, że w owym czasie naprawdę znał jako tako jedynie język rosyjski i „tłumaczył" z rosyjskich przekładów. Nie wiem, jak tam było naprawdę, ale do dzisiaj tamte jego przekłady Garcii Lorki wydają mi się bardzo trafiające w ducha tego poety.

Andrzej debiutował jako siedemnastoletni chłopak w „Kamenie". Poszedł potem na uniwerek do Warszawy. Studiował dziennikarstwo, lecz widocznie jego ustawiczne fantazjowanie, zwane przez wielbicielki i młode poetessy — „wielkimi mistyfikacjami Andrzeja Tchórzewskiego", nie przypadło do gustu wykładowcom i egzaminatorom, bo wkrótce wrócił do Lublina. Tutaj wziął się za studia polonistyczne. Gdzie z kolei nie przypadli sobie do gustu z prof. Garbaczowską, czy też prof. Grzędzielską. Ostatecznie Andrzej skończył w Warszawie socjologię.

Gdzieś pomiędzy studiami dziennikarskimi a socjologicznymi został powołany przez Komendę Rejonową Lublin — Miasto, w celu odbycia dwuletniej służby w szeregach ludowego wojska. Kiedy dowiedzieliśmy się o tym, szczerze mu współczuliśmy. Ze swoją nieutemperowaną naturą, swoimi fantazjami i absolutnym zaprzeczeniem jakiejkolwiek regulaminowości, był wymarzonym materiałem na „ofermę batalionową" i na ofiarę kaprali. Nic z tego. Nasz poeta-żołnierz okazał się „ofermą" do tego stopnia, że nawet najbardziej odpornym podoficerom... opadły ręce przy próbach zrobienia z niego „człowieka". Został podobno odesłany, jako „niezdatny do szkolenia", do wojskowej kultury, gdzie — w jakiejś redakcji czy też przy zespole artystycznym — doczekał spokojnie końca służby zasadniczej...

Zupełnym przeciwieństwem Tchórzewskiego, jeżeli chodzi o wygląd, był Andrzej Turczyński. Wyższy od niego, blondyn o jasnej, rumianej cerze i błękitnych oczach. Pisywał w owym czasie wiersze w rodzaju:

Na przystanku tramwajowym
między Cierpieniem a Miłością
poeta czeka
i rzeźbi chwile rozterek
w kamieniu czasu mijają go wozy

Pod tą liryczno-refleksyjną opończą, w jaką przyodziewał się Andrzej Turczyński, kryła się dusza słowiańska, nieokiełznana. I pełna pomysłów niesamowitych, a często — więcz nieodpowiedzialnych. To, że obaj z Tchórzewskim zwykli byli wieczorową letnią porą przełazić przez wysoki mur na teren ogrodu seminarium duchownego i tam, zaczajeni w krzakach, straszyć w ciemności spacerujących kleryków ponurym wyciem: „Apage satanas...!", można uznać tylko za blade odbicie jego innych wyczynów. Przez pewien czas na przykład Turczyński udzielał korepetycji z angielskiego pewnej gimnazjalistce. Wszystko szło doskonale do momentu, kiedy okazało się, że „nauczyciel" był o jedną tylko lekcję mądrzejszy od swojej „uczennicy". Sam właśnie wtedy brał korepetycje u jakiegoś anglisty, a to, czego się u niego podczas lekcji nauczył, „przekazywał" następnego dnia jako „korepetytor"...

Andrzej nie poszedł na studia, natomiast zaczął pracować czy też współpracować, jako początkujący dziennikarz, z redakcją powstałego wtedy niedawno „Kuriera Lubelskiego". Niedługo zagrzał tam miejsce, wyleciał z hukiem. Mówiło się wtedy, że za napisanie krytycznego i piętnującego w ostry sposób działalność jakiejś instytucji artykułu, do którego dane... wyssał sobie po prostu z palca.

To był początek długiej i pełnej przygód wędrówki Andrzeja przez Polskę. Po wielu latach spotkaliśmy się nagle przypadkowo pod Białą Podlaską, w... eleganckim karawanie, którym Kazimierz Grześkowiak pielgrzymował do wsi Cicibór, aby pojednać się z tamtejszymi mieszkańcami, dotkniętymi śmiertelnie na honorze z powodu piosenki „Panny z Cicibora". Andrzej Turczyński współpracował wówczas z „Tygodnikiem Kulturalnym". Od tamtego czasu nie widziałem go, tylko niekiedy dochodzą do Lublina wieści o nim: osiedlił się ostatecznie w Koszalinie, napisał kilka sztuk, które doczekały się realizacji teatralnych, wydał książkę...

A jeżeli już jesteśmy przy temacie dziennikarskim, to jakże pominąć, wyraźnie już rysującą się na lubelskim firmamencie anno 1958, sylwetkę młodego dziennikarza (wprawdzie dopiero po wielu latach członka redakcji „Kameny") — Romualda Wiśniewskiego! Szalejącego reportera, miłego kolegi, oryginała, w każdym calu. I jedynego w redakcji „Sztandaru Ludu" zwolennika noszenia kaloszy oraz czarnego parasola — zwyczajem angielskim — nawet przy słonecznej pogodzie.

Przez wiele lat Romek pisywał m. in. felietony „z życia miasta", pod pseudonimem „emerytowanego majora WP Anzelma Borkowskiego", i robił to tak doskonale, tak świetnie potrafił się wczuć w osobowość stworzonej przez siebie postaci, że nikt nie podejrzewał go o tę mistyfikację. Romek podejmuje często w swych reportażach tematy niezwykłe, choć przecież dotyczące zdarzeń dziejących się wokół nas, potrafi jak nikt inny zaskoczyć indagowaną osobę, skłonić do mówienia. Tak, jak w przypadku owego wieloletniego więźnia, nieufnego wobec wszystkich i zamkniętego w sobie, do którego celi wkroczył pewnego dnia, rzucając jak gdyby nigdy nic, od progu pytanie: „Dzień dobry, panie X, co słychać?"...

Nas zaskakiwał często Romek (już w latach pracy w „Kamenie"), gdy okazywało się nagle, że został oto płetwonurkiem — członkiem klubu „Murena", albo gdy objawiał się raptem jako myśliwy. Bywała zresztą, że w ostatniej chwili, przed wyjazdem na polowanie, Roman zmieniał zdanie... Spotkałem go kiedyś na ulicy Okopowej w pełnym myśliwskim stroju z torbą na zwierzynę u boku, skórzanymi trokami u pasa, i dwururką na ramieniu. „Cześć, co to, wybierasz się na polowanie?" „Nie, do okulisty" — odparł spokojnie.

Kiedy Romek przeniósł się do Warszawy, Kogoś ubyło, nie tylko z „Kameny", ale także z artystycznego pejzażu lubelskiego...

W połowie roku 1959 (w numerze 11 z 15 czerwca) po raz pierwszy ukazało się na łamach „Kameny" nazwisko Edwarda Stachury. Zamieszczona wówczas przez niego krótka proza poetycka nosiła tytuł „Miasto". „Sted" — taki pseudonim przyjął od pierwszych członów imienia i nazwiska (Stachura Edward) — studiował wówczas, na pierwszym bodajże roku, filologię francuską na KUL. (Ostatecznie skończył ją na Uniwersytecie Warszawskim, po przeniesieniu się do stolicy). Debiutował już dwa lata wcześniej, także na łamach prasy literackiej, chyba we wrocławskiej „Odrze", ale w Lublinie był jeszcze zupełnie nieznany. Żył zresztą z dala od literackiej kawiarni. Widywałem go na ulicach, na dziedzińcu KUL, jak siedział w swoich nieśmiertelnych dżinsach, z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie, na całą szerokość ścieżki, na przekór wszystkim przechodzącym, spoglądając trochę spode łba... Mówiono o nim: taki dziwny facet... poeta... bić się lubi... Dopiero później mieliśmy poznać, ile w nim było ciepła, i miłości, i zagubienia...

Ani „Miastem", ani pierwszym opublikowanym w „Kamenie" wierszem „Pejzaż" — w jej „czechowiczowskim" numerze, z października 1959 r. — „Sted" nam nie zaimponował.

Ale w następnym... W następnym numerze (21, z 15.XI) ukazała się jego „Błogosławiona bądź łaźnio":

Tak jak dworzec był moim nocnym, zimowym hotelem, tak łaźnia przygarniała mnie dniem. Kiedy się nie ma tego, co wy, łaźnia jest instytucją nad wyraz gościnną. A jeśli jeszcze jest zima, i zimno, i wiatr, i śnieg, i mróz, i zimno bardzo, to trzeba błogosławić łaźnię i czynię to w tej chwili. Błogosławiona bądź, łaźnio — hotelu przyjazny. Myłaś mnie a kąpałaś, a grzałaś. Odnajdywałem u ciebie ciało moje i cieszyłem się nim, bo to jest złota żyła — swoje ciało. Błogosławiona bądź, wieżo z kości słoniowej, błogosławiona dolino obiecana, po brudnych ławkach dworcowych każdego poranka obiecana. Ty znasz mnie dobrze, o pani dobra i pełna czułości...

To był już... S t a c h u r a. To był p o e t a — wiedzieliśmy to dobrze, choć jeszcze do końca nie wszystko rozumiejąc — który przyszedł do Lublina i który zamąci teraz w naszym małym światku, czepiającym się końca stołu przy ulicy Granicznej.

Kiedy dziś, po latach, czytam tekst tego pierwszego „Miasta" na łamach „Kameny", miasta, z którym on już wówczas nie mógł pogodzić się, dojść do ładu, dostrzegam to, co było w tym opowiadaniu niezrozumiałe wówczas dla nas, i może dla samego nawet „Steda", to zakończenie: *Słońce powoli schodziło coraz niżej, ulice napełniały się ludźmi, a między nimi trzepotało, jak wyjęta z wody ryba, moje zagubienie.*

Pomiędzy tym zdaniem, a niedawną śmiercią poety zawarło się całe życie Stachury.

Mirosław Derecki

OBCZYZNA

Endre Fejes

W CHWILI, gdy uliczny zapalacz lamp spojrzał na nich przez wystawową szybę, płomień gazowej róży zakwitł zielonym blaskiem. Kobieta pięknymi, długimi palcami objęła kieliszek.

— Już wieczór. — uśmiechała się — Nawet nie zauważyłam. Napijemy się jeszcze? — Nie czekała jednak na odpowiedź, skinęła w stronę kelnera.

— Chyba wystarczy. — powiedział Zimonyi. — O świcie idę do pracy.

Kobieta zapaliła papierosa.

— O świcie. — patrzyła za okno na jesienne liście pędzone przez wiatr. — Jest pan dziwnym człowiekiem. Nie przeżył pan jeszcze takie chwili, w której trzeba mówić coś pięknego? Coś, co można potem długo wspominać? Kiedy chłód i cisza w Notre-Dame... lub gdy Marsyliankę śpiewają... Albo jesiennym wieczorem... nie wiem. Są jednak chwile, które trzeba czuć.

Kelner postawił napoje na marmurowym stoliku. Zimonyi trącił paznokciem brzeg kieliszka. Uśmiechnął się cierpko.

— Dawno temu puszczałem mydlane bańki — powiedział. — Jedna była już większa od dwóch moich pięści. Ledwo co mogłem dmuchać. Wtedy wybito mi z ust słomkę. Panu Mayerowi miałem znosić drzewo do piwnicy, dwa pengo płacił. Była taka chwila.

Brzęknął kieliszkiem o kieliszek, wychylił wino.

— Chodźmy. — uśmiechał się. — O świcie zaczynam harówkę, którą dotąd będę ciągnąć, aż nie przybiją mi trumiennego wieka. Nic to, aby tylko kręgosłup został prosty. I nie bójmy się ani Boga, ani króla.

— No, króla ja też się nie boję — śmiała się kobieta.

— Nawet nie wolno — kiwał. — Bo nie ma też prawdziwego króla, tylko w bajkach.

— A Bóg? W niego też pan nie wierzy?

Zimonyi zdusił papierosa.

— Nie wiem — powiedział zamyślony. — Kiedy na ojca runęła belka, bardzo Go prosiłem, pół nocy odmawiałem Ojcze nasz w kościele na placu Szegenyhaz. Potem drugiego dnia rano w szpitalu nauczyłem się, że modlitwa tyle znaczy, co dla umarłego pocałunek.

Wypili resztkę wina.

— Kochają pana kobiety?

— Nie sądzę, by skakały za mną — powiedział otwarcie. — Wie pani, gdy człowiek kończy nieociosaną pracę, staje się szorstki. Kobiety lubią piękne słowa, komplementy, a to nie jest mój chleb.

— Idźmy — wstała. — Już późno.

Kobieta przekręciła klucz w śnieżnobiałych drzwiach, weszła pierwsza.

— Proszę zdjąć płaszcz — powiedziała. — Zaparzę dobrą kawę.

Niedługo potem przyniosła parujący napój, zapaliła stojącą lampę o dużym, pergaminowym kloszu, sięgnęła do radia, szukając rozgłośni w Budapeszcie. Z dalekiej ojczyzny popłynęły węgierskie słowa. Kobieta skuliła się w głębokim fotelu, twarz jej zatonęła w półmroku, jedynie papieros rozjarzał się co jakiś czas.

W przedpokoju ostro zadźwięczał dzwonek. Zimonyi pytająco spojrzał w bok, ale kobieta też nie wiedziała, kto może być późnym gościem. Otworzyła drzwi, wróciła z wysokim mężczyzną.

— Dobry wieczór. — skłonił się elegancko w stronę Zimonyiego. Odwrócił się do kobiety. — Potrzeba mi na rano sześćdziesiąt metrów jasnoniebieskiego materiału.

— W porządku Pierre. Przyjdź rano do pracy, przygotuję.

— Nowy chłopak? — zapytał.

— Najnowszy.

— Chudy — odwrócił się do Zimonyiego. — Jedz, nie przeszkadzaj sobie. Żebyś się wzmocnił. W owocach jest dużo witamin. A to jest doprawdy tanie miejsce, darmo wychodzi.

Zimonyi wstał.

— Kim jesteś przyjacielu?

— Dawnym meblem w domu — mężczyzna przekręcił głowę. — Martwię się, Ivone. Jesteś lekkomyślna. Gdy obrabują ci mieszkanie, nawet samolotem ich nie złapiesz. Biegają tacy po całym świecie.

Zimonyi uderzył go w twarz. Tamten stał wstydliwie, potrząsał głową, ale przy drugim uderzeniu osunął się na linoleum.

— Dlaczego pan go uderzył? — powiedziała zrozpaczona kobieta. — Przecież on jest kaleką. Lewe ramię ma całkiem sparaliżowane.

Położyli go na kanapie, kobieta przyniosła mokrą chustę, wycierała mężczyźnie twarz. Usta miał rozcięte, pod okiem krwiaka wielkości jajka.

— Masz mocną rękę — odezwał się. — Gdybym spodziewał się, że mnie uderzysz, przypiąłbym cię do sufitu jak pinezkę.. jedną ręką też.

— Nie lubię się bić — powiedział Zimonyi. — Co chcesz ode mnie? Nie zabieram ci kochanki.

— Nie potrafisz zabrać. Nie jest moja. — Podniósł się z kanapy, popatrzył na kobietę. — Rano przyjdę po materiał.

— Dobranoc Pierre — pozdrowiła go.

Opuchniętymi ustami uśmiechał się do nich, potem poszedł. Zimonyi gapił się na swoje buty.

— Miała pani wielu kochanków?

— Nie wiem — odpowiedziała. — Ja nie pamiętam minionych pocałunków.

W rogu stała gitara. Zimonyi schylił się, brzęknął.

— Gra pani na gitarze?

— To mojego męża, ale on także się na niej nie zna.

Zimonyi potarł skroń. Uśmiechnął się.

— Silny człowiek?

— Proszę się nie bać, on tu nie przyjdzie.

Skuliła się na kanapie, zawiesiła na chłopcu wyczekujący wzrok.

— Ciebie się boję — powiedział cicho Zimonyi.

— Idź. Może i lepiej tak.

Zimonyi usiadł obok, przyciągnął ją do siebie.

— Ostatniej zimy wielu u nas zmarło — szeptał powoli. — Mówiłem, jest wojna. Potem na placu

Ryś. R. Inglot

nie został ani jeden kasztan. Nie chcę wracać do domu, ukradli mi wszystko. Gdybyś i ty ukradła, nic by mi więcej nie pozostało.

Świtało nad dachami. Szary ranek wbiegł do pokoju, przemalował meble. Stojąca lampa zbladła jak skazany na śmierć.

— Kochaj — powiedziała kobieta. Oczy miała szerokie jak dwa czyste lustra. — Ja cię nie zostawię.

Później jakiś bąk zabłąkał się do pokoju. Może wysłał go promień jesiennego słońca, kiedy osłabionym wzrokiem legł na kopenhaskiej wazie. Złotobrzuchaty wędrowiec usiadł na niej, brzęczał długo jak malutkie dynamo.

Ale oni nie słyszeli, nawet gdy odleciał.

Maszyny do szycia spały rzędem wzdłuż ściany, paliła się jedyna lampa. Na pobieloną ścianę rzucała cień Zimonyiego i bawiła się nim. Podciągała aż do sufitu jajowatą głowę, kurcząc ją do wielkości karła, potem robiła z niej dynię ze śmiesznymi słoniowatymi uszami. Kiedy Zimonyi w wiadrze umoczył szmatę, cień zniknął. Za chwilę zgiął się pod żelazkiem. Na ramieniu nabrzmiała żyła, koszulka gimnastyczna przylgnęła do ciała. Zimonyi zorientował się dopiero, że jest Pierre, kiedy ten stanął w świetle lampy. Odłożył żelazko.

— Ubierz się — powiedział surowo mężczyzna, na ustach gniótł się przylepiec. — Chcę z tobą pogadać.

Leniwcowaty facet przeciskał się do środka. Niezdarnie potykał się w mroku, wywrócił manekin.

— Strajkujemy przyjacielu? — krzyczał błazeńsko, ale zobaczywszy obcego mężczyznę, stonował nieco. — Czy zmęczyliśmy się tylko?

Pierre patrzył na grubego człowieka, potem elegancko skłonił się.

— Zmęczyliśmy się — powiedział z wielkopańską kpiną. — Gdzieś koło Dunkierki. Proszę pozwolić na mały odpoczynek.

— Był pan pod Dunkierką? — zapytał cicho zwierzchnik.

— Niech pan nie bierze sobie tego do serca — uśmiechał się Pierre.

— Ja wierzę w każdą bzdurę, uczciwa rzecz. Dlatego tu przyszedłem — twarz zapadła w mroku, słyszeli tylko twardy śmiech.

Siedzieli w taniej kawiarni przy Rue de Riviolin. Z okien mogli widzieć dokładnie kościół św. Pawła. Chudy, blady mężczyzna brzdąkał pajękowatymi palcami na wytartym pianinie, oczy przymykał śpiąco co jakiś czas. Na ptasiej szyi podrygiwała spiczasta chrząstka Adama.

Pierre spojrzał na ręce.

— Żonaty? — zapytał.

Zimonyi długo stukał po stole.

— Nie zrozumiałeś mnie Pierre. Jutro znów wróciłbym do niej.

Pierre łyknął z kieliszka.

— Tej kobiecie nigdy nie skłamałem — powiedział sucho. — Ona wie, że dziś w nocy pójdziesz do niej, bo ja jej to przyrzekłem.

Kawiarnia powoli pustoszała. Zestarzała dziewczyna uliczna obejmowała zmęczonego pianistę, obok nich kilka osób targowało się z kelnerem. W kącie spał pijany metro-klochard. Przez oszklone drzwi przesłonięte firanką wszedł mężczyzna. Na wypielęgnowanych włosach leżało mu grube srebro. Pierrowi zabłysły oczy.

— Avsarow! — krzyknął z werwą. — Chodź no!

Stary człowiek podszedł do ich stolika. Pierre poczęstował go papierosem, zamówił koniak.

— Zagraj nam Avsarow — poprosił potem. — Coś ładnego.

Avsarow poprawił przed sobą harmonię, napełnił ją powietrzem.

— Rachmaninow — uśmiechał się. — Preludium cis-moll.

— Nie — powiedział Pierre. — Międzynarodówkę.

Avsarow zdusił harmonię.

— Nie znam — patrzył zimno. — Poproś o coś innego.

— Zaśpiewam ci dwa razy po kolei.

— Nie jestem ciekawy.

Pierre odliczył na stół dziesięć tysiącfrankówek. Patrzyli wilczo. Stary tarł czoło.

— Wiesz, że moja żona gorączkuje — stary mówił drżącym głosem. — Dlaczego Pierre? Nie wolno ci tak. Ty zawsze byłeś dobrym chłopakiem. Pierre, posłuchaj, jakie piękne są pieśni kozaków dońskich.

Pierre zgarnął pieniądze, wzruszył ramionami. Kościste, sękate palce powoli poruszyły się, szukały żółtych klawiszy. Podpity metro-klochard poważnie wstał, chropawym, drewnianym głosem śpiewał Międzynarodówkę. Potem stary poszedł, dźwigając na ciężkich barkach harmonię.

— Dlaczego go ruszałeś? — zapytał zmęczony Zimonyi.

— Bo żebrał w Paryżu z podniesioną głową — śmiał się okrutnie. Ja zaś żebrałem tchórzliwie. Gdy piliśmy, płakałem. On śmiał się, opowiadał o koniach. Ale pułkownik Avsarow sprzedał dziś wieczorem cara za parę franków. Ja tylko męczę swoje sny. Naprężył gardło, śmiał się bezgłośnie. Zimonyi poruszył się.

— Pijany jesteś, Pierre.

— 10 lat — odpowiedział opryskliwie. — Dziś rano przyszła do mnie. Dziecko chce od ciebie. Pogłaskałem jej dłoń, powiedziałem: przyprowadzę go. To było cięższe od Międzynarodówki.

Pili bez słów. Z ulicy weszła młoda para, usiadła w mrocznym kącie. Pianista zmęczonymi palcami biegł do końca po klawiaturze.

— Świta — powiedział cicho Pierre. — Trzeba iść Etienne.

— A ty?

— Odprowadzę cię — uśmiechał się. — To mój ślubny prezent.

Gdy wyszli na ulicę, kościół świętego Pawła wyłaniał się już z mroku. Robotnicy we mgle wlekli się do przodu, jechali śpiąc na rowerach, witali budzące się miasto.

Pierre postawił kołnierz, potem ruszyli w stronę Rue de Riviolin w kierunku Bastylii.

Tłumaczył: Jerzy Szpyra

ENDRE FEJES, ur. 1912, jest jednym z najbardziej znanych i popularnych prozaików węgierskich. Wielki sukces odniósł wydaną w r. 1942 powieścią „Cmentarz starego żelastwa". Powieść ta, dzięki odważnemu i krytycznemu ukazaniu tragicznych konsekwencji gwałtownych przemian społeczno-ustrojowych i powolnych zmian w świadomości ludzkiej, stała się swego czasu zarzewiem ogólnonarodowej dyskusji. W Polsce Endre Fejes znany jest także i z drugiej powieści zatytułowanej „Dobry wieczór lato, dobry wieczór miłość". Prezentowane opowiadanie pochodzi z tomu „Kłamczuch" (Budapeszt 1973). Tytuł redakcyjny.

J.S.

Radomski Salon Zimowy

WYDAJE się, że czasy świetności Salonu Zimowego w Radomiu minęły bezpowrotnie. Po chlubnym okresie, kiedy był on jednym z najbardziej reprezentatywnych przeglądów naszej plastyki, poziom jego obniżył się widocznie. Zasadniczą przyczyną spadku popularności Salonu, a co ważniejsze jego prestiżu artystycznego, była przede wszystkim mało oryginalna koncepcja wystaw tematycznych — przyjęta przez organizatorów w latach sześćdziesiątych. Z roku na rok prezentacje były coraz bardziej nudne i nijakie, a Salon z ogólnopolskiego stawał się imprezą żałośnie prowincjonalną.

Nie bez znaczenia był też fakt, że wiele nowych ogólnopolskich wystaw czy konkursów proponowało w owym czasie formuły o wiele atrakcyjniejsze, bardziej nowoczesne. Rozpaczliwe próby ratowania Salonu w latach siedemdziesiątych w postaci wyboru metafory jako jego hasła przyniosły nieco ożywienia i sporo nadziei. Pięć kolejnych wystaw (tegoroczna zamyka ów cykl), prezentujących metaforę we współczesnym polskim malarstwie i rysunku, w znacznym stopniu nadzieje te potwierdziło. Przyjęta koncepcja pozwoliła na szerszą konfrontację znacznie zróżnicowanych formalnie i treściowo postaw twórczych.

Jednakże dziś nie mamy zbyt wielu powodów do przesadnej euforii, bowiem kilkuletnie prezentacje metafory jedynie częściowo spełniły oczekiwania. Brakowało propozycji naprawdę świeżych i oryginalnych.

Tego roku jurorzy zdecydowanie preferowali walory malarskie dzieł (tym większa chwała dla lubelskiego laureata Ryszarda Lisa). Jednakże nie oszczędzono zwiedzającym „dzieł" pozbawionych prawie zupełnie wartości malarskich, malowanych często zadziwiająco nieporadnie. A już zupełnym nieporozumieniem były denerwujące skrajnym infantylizmem realizacje czerpiące (zapożyczające wręcz!) wiele rozwiązań z ogranej jak piąta symfonia poetyki surrealizmu.

Jeśli chodzi o malarstwo Lisa, to mimo wyraźnego akcentowania strony treściowej dzieł (apokaliptyczne wizje zagłady) zróżnicowane środki ekspresji chronią je od natrętnej „literackości". Przy rozlicznych walorach formalnych tego malarstwa czuje się, że nie powstało ono jedynie z chęci „zrobienia obrazu", z potrzeby „rozegrania płaszczyzny". Lis maluje nie po to, by swoimi propozycjami realizować jakąś koncepcję malarstwa, lecz przede wszystkich dla przyjemności. Artysta przywraca malarstwu jego ważną, nie zawsze u nas rozumianą i docenianą funkcję: „swobodnego zapisu świadomości człowieka myślącego".

Wyraźny spadek atrakcyjności metafory w ostatnich latach jest faktem. Zresztą najlepiej chyba świadczy o tym stosunkowo słabe zainteresowanie twórców tegoroczną radomską imprezą. Przeto pozostaje jedynie czekać na nową oryginalną formułę Salonu Zimowego. Może się doczekamy...

Marek Barański

O krasnostawskim ruchu oporu

MOGŁOBY się wydawać, że bibliografia dotycząca okresu wojny i okupacji na Lubelszczyźnie jest wyjątkowo bogata, gdyż składa się już z dziesiątków książek, nie licząc wielu prac ogłaszanych w okazjonalnych wydawnictwach zbiorowych, czy też rocznikach naukowych, oraz nie uwzględniając publikacji prasowych. A jednak prawie każda nowa publikacja z tej dziedziny wnosi dużo elementów wiedzy przedmiotowej, a równocześnie ukazuje istniejące w niej ciągle, niekiedy bardzo poważne, luki.

Dobrze się dzieje, jeśli za uzupełnienie luk w materiałach historycznych biorą się doświadczeni działacze, którzy sami stanowią poważne źródło materiałowe. Dlatego sporą satysfakcję można mieć z okazji wydania przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą książki pióra dwóch byłych komendantów krasnostawskiego obwodu Batalionów Chłopskich — Pawła Czuby i Jana Wojtala.

Były powiat krasnostawski ma do publikacji na temat wojny sporo szczęścia. Po „Czerwonych opłotkach" Stanisława Lisika i „Zanim się zaczęło" Jana Błażejczyka otrzymaliśmy obecnie trzecią książkę napisaną przez organizatorów i dowódców ruchu oporu na ziemi krasnostawskiej. Wydana została starannie, z bogatym działem dokumentalnej fotografii, szkicami sytuacyjnymi, aneksami i skorowidzami; będzie z pewnością poważną pomocą w pracy historyków i regionalistów.

Autorzy postawili sobie słuszny cel ukazania problemów okupacyjnych polskiego społeczeństwa w szerokim ujęciu, zarówno od strony walki i sabotażu, jak też spraw gospodarczych i społecznych. Inna sprawa, że to zamierzenie zostało zrealizowane z różnymi wynikami, wskutek czego lektura książki niejednokrotnie budzi poczucie niedosytu.

Daleko niedostatecznie autorzy pokazali na przykład akcje sabotażu gospodarczego, bardzo w Krasnostawskiem liczne na terenie majątków obszarniczych. Zabrakło ukazania roli, jaką obwód krasnostawski odgrywał w Podokręgu IV-B względem pozostałych terenów wyniszczonej Zamojszczyzny. Skromniutko i niedostatecznie zostały zarysowane początki konspiracji i jej zwalczanie przez okupanta. Zupełnie bez echa pozostały w książce problemy wewnętrznych tarć politycznych, jakie m. in. towarzyszyły choćby odejściu „Lemiesza" z funkcji prezesa powiatowego zarządu „Rocha", czy też „Mahatmy" ze stanowiska obwodowego komendanta LSB, albo fronda uprawiana przez tego ostatniego do końca okresu okupacji. Nie odnotowali autorzy zjawiska burzliwej radykalizacji placówek BCh, najwydatniejszych na całej Lubelszczyźnie.

Bardzo dobrze natomiast wygląda w książce inny ewenement krasnostawski, jaki stanowiła tamtejsza konspiracyjna działalność wydawniczo-prasowa; rzeczowo przedstawia się szkolenie wojskowe i tajna oświata. Uznanie budzi staranne opracowanie najważniejszych akcji partyzanckich, co pozwoli historykom wiele z nich uściślić i zweryfikować, a zwykłym czytelnikom — nabrać o nich właściwego poglądu. Szkoda tylko, że np. w sprawie boju pod Piotrkówkiem autorzy odwołali się do przestarzałego obrazu zawartego w „Kalendarium walk BCh na Lubelszczyźnie", udział krasnostawiaków w walce z niemiecką kolonizacją Zamojszczyzny jedynie zamarkowali, a datę boju w Łopienniku Dolnym podali kontrowersyjnie.

Niewiarygodnie wygląda wstępne twierdzenie autorów, określające stan ludowej konspiracji w obwodzie krasnostawskim na 15 000 członków. Jeżeli na początku 1944 roku Komenda Okręgu BCh oceniała ten stan na 4272 osoby, to do końca konspiracji mógł on wzrosnąć najwyżej dwukrotnie, a przecież w tym samym czasie na terenie obwodu parę tysięcy ludzi odeszło z dyspozycji BCh do AL. Nie można się oprzeć wrażeniu, że autorzy całą krasnostawską konspirację wpakowali do jednego worka z napisem „BCh". Pogląd taki potwierdza np. traktowanie przez nich „Zręba", o którym niekiedy piszą jako o dowódcy AK, a kiedy indziej wliczają go w poczet dowódców BCh; przy czym w obu funkcjach ten dowódca występuje antagonistycznie w stosunku do drugiej organizacji.

Czyniąc te zastrzeżenia, jak też podkreślając walory książki, chcę jeszcze raz wyrazić satysfakcję, że taka pozycja ukazała się na rynku wydawniczym. Prowadząc od wielu lat studia nad okresem wojny na Lubelszczyźnie, wiem, jak bardzo ta książka jest potrzebna i z żalem myślę, jak wielkie braki w tego rodzaju publikacjach cechują niektóre inne regiony Lubelszczyzny.

Leszek Siemion

Paweł Czuba, Jan Wojtal: Walczyli na ziemi krasnostawskiej, LSW, Warszawa 1979.

Przezwyciężanie niepokoju

JEDNĄ z najbardziej wyrazistych widocznych tendencji, jaką dostrzega się w poetyckim tomiku Waldemara Michalskiego „Głosy na wersety", jest niewątpliwie „piętno geografii". Charakterystyczne są dość liczne teksty traktujące o miejscach z realną i sprawdzalną topografią, o rozpoznawalnym krajobrazie, podkreślonym często już w tytule wierszy (np. „Mój Chełm", „Wąwozy na Czechowie", „Podwieczerz we Fromborku", „Dworek w Żelazowej Woli").

Dominuje nostalgiczny nastrój przemijania, poczucie upływającego czasu, którego miarę stanowią, przeżywane pod wpływem oglądanych obrazów, wzruszenia i emocje. Melancholia pożegnania miejsc i krajobrazów, przywoływanych z pamięci, nie jest jednak związana z pesymistyczną rezygnacją, lecz ze spokojną serdecznością, ze zrozumieniem konieczności upływającego czasu:

Odwiedzam te mury z czułością
z pragnieniem
ze świadomością nieprzemijającego
przemijania
jak w lustro wody
w zielony dziedziniec
rzucając swoją niezapominajkę.

Czy znaczy to, że świat, jaki przedstawia poeta, jest mityczną krainą łagodności, ukojenia, bezpieczeństwa? Nie wyłącznie. Taki intymny, bezpieczny może być tylko wewnętrzny świat przeżyć jednostki. Rzeczywistość i człowiek wobec niej nie przedstawają tak idealnej harmonii. „Głosy na wersety" nie omijają problemów świata i jego niepokojów; nie zacierają istniejących dysonansów, podejmując zagadnienia historyczne (czy nawet szerzej: historiozoficzne).

Źródła niepokoju nie wywodzą się tutaj jednak z frustracji jednostki i jej nieprzystosowania do świata. Tego rodzaju odczucia i lęki zostają spragmatyzowane. Widzenie jest w tej poezji bardziej dojrzałe: chodzi o dostrzeganie tych momentów w historii, które rodzą niesprawiedliwość i zło:

Jeżeli jesteś poetą widok ptaka jest
słowa
początkiem. Niech nie mówią ślepi
że najpiękniejsze są zachody słońca
na tle odlatujących żurawi. Do bólu
zacisnąć wargi — niech skrzydła nie
znaczą
nigdy śmierci a trwogą gasnącego ognia.

Jest w tych wierszach analiza krzywdy ludzkiej, przemocy i to zarówno wówczas, gdy poeta mówi o starożytnych „hekatombach łez i krwi", o bezsensownym niszczeniu wielkości („Giordano Bruno"), jak i o własnym narodzie i kraju:

gdzie oręż i pióro
służyło jednako poetom
często na krzyżach spisane ich dzieje.

Tak widziana jest także tragedia II wojny światowej oraz historia współczesna: epoka, w której żyjemy, pełna społecznego niepokoju, znajdującego swój początek w nerwowym trybie naszego codziennego życia.

Sytuacjami budzącymi niepokój są również szeroko rozpowszechnione przez środki masowego przekazu mity współczesności, które niejednokrotnie dają fałszywy wymiar czynom ludzkim:

dławią się wielkie litery
człowiek w kosmosie
w kosmosie człowiek
człowiek
człowiek
a stary Sokrates
siedząc w cieniu oliwkowego gaju
myśli
ludzie
zobaczyli
człowieka

„Głosy na wersety" to zbiór poetycki pozbawiony manieryczności i efekciarstwa. Cenny jest zwłaszcza fakt, iż Michalski oparł się tak częstej w młodej poezji manierze lumpiarskiego, nihilistycznego modelu życia (nie stosuje chwytów naturalistycznych, unika brutalizmu i wulgaryzmu). Nawet jeśli występuje model poety-lumpa, to przedstawiony w optymistycznym, filareckim tonie wspólnoty z ludźmi, z otoczeniem. Podobnie ukazany jest temat miłości. Jest to dobra miłość, pełna poezji, łagodna.

Przezwyciężenie niepokoju, wiara w istnienie niezniszczalnych wartości — to program „Głosów na wersety".

Andrzej Niewczas

Waldemar Michalski: Głosy na wersety, Lublin 1979.

20 LAT KINA „WIEDZA"

19 marca 1960 r. otworzyło podwoje warszawskie Kino Dobrych Filmów „Wiedza". Filmem, który zainaugurował jego działalność, był „Pancernik Potiomkin" Sergiusza Eisensteina. W ciągu 20 lat nie zmieniło się kierownictwo placówki, spoczywające w ręku dyrektora kin w Pałacu Kultury i Nauki, Stanisława Zemli, i sprawującego pieczę nad repertuarem znanego krytyka Jerzego Płażewskiego.

— Pokazaliśmy dotychczas na ekranie „Wiedzy" tysiąc filmów, które obejrzało 7 mln osób — mówi J. Płażewski. — Każdy seans (a było ich łącznie 31 tys.) poprzedza kilkuminutowa prelekcja, która przynosi zwięzłe informacje o reżyserze, koncepcji artystycznej utworu i środkach wyrazowych, jego miejscu w kinie światowym. Te krótkie „wstępy" są naszą specjalnością, tworzą z „Wiedzy" bezprecedensowy model kina. Dodajmy — akceptowany przez publiczność. W dwóch przeprowadzonych sondażach widzowie wypowiedzieli się za prelekcją przeważającą większością, ok. 90 proc. uczestników ankiety.

Kiedy rodziła się myśl utworzenia KDF w Pałacu Kultury i Nauki, wielu wróżyło nam rychłą plajtę, już wtedy bowiem przepadały w repertuarze filmy ambitne, od których często jak od ognia stronili kierownicy kin. Okazało się jednak, że „Wiedza" zajmuje pod względem zapełnienia widowni od pierwszego do trzeciego miejsca wśród warszawskich kin. Na seansach wieczornych mamy przeciętnie 70 proc. widzów. Tak trudny film jak „Opatrzność" Alaina Resnais osiągnął 85 proc. frekwencji. Oczywiście ponosimy też porażki, czasem zastanawiające; dla przykładu: nie najgorszy przecież film „Kochankowie roku pierwszego" ściągnął tylko 17 proc. potencjalnych widzów.

Parę słów o tym, jak układany jest repertuar naszego kina, w którym wyświetlamy niemal wyłącznie filmy powtórkowe, uprzednio prezentowane w kinach premierowych. Decydujący głos w jego kształtowaniu mają widzowie, wypowiadający się w nieustającym plebiscycie. „Zamówienia" składają oni w specjalnej skrzynce życzeń. W ciągu 20 lat otrzymaliśmy 20 tys. różnego rodzaju listów i zamówień.

Ogólnie biorąc, staramy się, aby trafiły na ekrany „Wiedzy" te pozycje, na które wygasa licencja, filmy nagrodzone na festiwalach (co nie oznacza, że zawsze zgadzamy się z werdyktem jury). Wprowadzamy tzw. filmy znikające, które jak meteor przemknęły przez zero-ekrany; rzecz jasna, pod warunkiem że są to utwory wartościowe. Oczywiście, pokazujemy także filmy kupowane specjalnie dla kin studyjnych. Pochlebiamy sobie, że w ciągu 20 lat nie pojawił się na ekranie „Wiedzy" film, którego moglibyśmy się wstydzić.

I jeszcze kilka szczegółów. Mamy w naszym kinie szatnię i choć nie jest obowiązkowa, większość widzów z niej korzysta. Seans zapowiada specjalny sygnał akustyczny, którym jest fragment „Uprowadzenia z Seraju" Mozarta. Wiele miejsca poświęcamy krótkiemu metrażowi, sami decydujemy, jaką wartościową pozycję krótką połączyć z filmem fabularnym.

To, co powiedziałem, może stworzyć wrażenie, że wszystko układa się idealnie, bez kłopotów i trudności. Wcale tak nie jest. Kin studyjnych nie rozlicza się z ambicji repertuarowych, ale tak jak wszystkie muszą wykazać się odpowiednimi wpływami, czyli decyduje kasa. Kina te, które mogą być doskonałym czynnikiem upowszechniania kultury filmowej, powinny być otoczone większą troską władz kinematografii. Działa ich obecnie w całym kraju ok. 30. Niestety wiele z nich to placówki studyjne jedynie z nazwy. Koordynacyjna Rada Artystyczna Kin Studyjnych popadła w letarg, choć powinna służyć istotną pomocą całemu ruchowi, zwłaszcza przy organizowaniu tzw. dni studyjnych w kinach mniejszych miast.

(rz)

W domu trzech kobiet

Dokończenie ze str. 3

wiózł, on przywiózł. Wszystko Paweł, najlepsze dziecko on był.

W domu trzech kobiet, na skraju lubelskiej Ponikwody, gości w rozmowach rozległy świat. Nawet ten sprzed ponad stu lat. Pamięć Franciszki Tyszkiewiczowej sięga w głąb naszych dziejów. Swoją wiedzę wniósł także w małżeństwo Franciszek Tyszkiewicz, który był starszy od żony o dziesięć lat, a więc urodził się rok po upadku powstania styczniowego. Podobnie jak u Szczerbińskich, również u Tyszkiewiczów dzieje rodzinne obfitowały w bohaterskie wydarzenia.

W naszej rozmowie przywołała pani Franciszka prześladowania unitów, których na Podlasiu było tak wielu, nocne nabożeństwa w lasach. Tam chrzcili się według grekokatolickiego obrządku, brali tajemne śluby. Mowa była również o kozackich i czarnosecińskich najazdach na spokojne wsie, wreszcie o tym, jak cesarz jechał przez te ziemie, a ludzie przemycali do niego podania i skargi, a w wyniku tego car miał powiedzieć: „Jak kto chce, niech żyje". No i ci, co nie czuli się prawosławnymi, a w dodatku byli Polakami, jawnie już zaczęli żyć po swojemu. Jeszcze Związek Michała Archanioła, jeszcze Czarna Sotnia jakiś czas grasowały, ale ukaz carski obowiązuje. Te zmiany, jak wiemy, pochodzą z sytuacji przymusowej, po przegranej wojnie z Japonią, a przede wszystkim po rewolucyjnych wydarzeniach z lat 1905—07, które zresztą są obecne w monologu Pani Franciszki, tylko że ona nie z nimi te ulgi łączy, ale z dobrocią batiuszki cara Mikołaja II.

Sporo miejsca w pamięci Tyszkiewiczowej zajmują dawne zwyczaje i obyczaje, warunki chłopskiego i pańszczyźnianego życia oraz nieszczęścia, jakie na biednych ludzi przychodziły: cholera, pomory i wojny, japońska, wreszcie ta pierwsza i druga, która zabrała jej dwoje dzieci, a obu synów odgrodziła od kraju. Uśmiecha się, gdy pokazuje mi na fotografii wiszącej nad jej łóżkiem, syna Władysława w rozmowie z papieżem Janem Pawłem II pod Monte Cassino. Każe mi podać także oprawiony w ramki, skierowany do niej, papieski adres z błogosławieństwem na dłuższe jeszcze życie. Jest religijna, ale przez całe dorosłe życie kierowała się zasadą usłyszaną od pewnego misjonarza w Parczewie. Miał powiedzieć: „Kobieto, matko, żono i siostro! Jeżeli lecisz do kościoła i w nim klęczysz, a w domu chłop głodny, dzieci zaniedbane, gadzina nie obrządzona kwiczy, gdy ty tu pokłony przed Bogiem czynisz, modlitwa twoja nie będzie w niebie przyjęta. Najpierw zrób, co do ciebie należy, a wtedy przychodź do domu modlitwy". Tak pojęta religijność, jak stwierdza to z dumą córka, nigdy nie pozwoliła matce zostać bigotką, nakazywała zachować umiar.

Córka, Wacława Masiakowa, i synowa, Feliksa Tyszkiewiczowa, mówią zgodnie, że mama do stu lat rządziła domem na wzgórzu i one nie śmiały odbierać jej roli przewodniej. Dopiero po tej dacie stopniowo pani Franciszka oddawała swoją władzę, ale jej autorytet, dobrotliwy — nie dyktatorski — odczuwalny jest także obecnie. Obserwuję krzątaninę obu młodszych kobiet, a także widzę je w tych momentach, gdy siadają, czytają, słuchają radia lub oglądają telewizję, albo kiedy trwają w jakiejś nieprzeniknionej zadumie — wszystko podporządkowane jest senior ce. Jej drzemka trwa jeszcze, czy może trzeba dotrzymać jej towarzystwa, a może coś podać, w czymś usłużyć?

Centrum domu jest w pokoju pani Franciszki, albo tam, gdzie ona w danej chwili przejdzie, spacerując z pewnym wysiłkiem. Latem lubi przebywać na dworze, wtedy za nią przenosi się ich troska. Nie, od roku, może od dwóch nawet, już nie krząta się tak często w obejściu i ogrodzie. Siada przed domem, albo w sadzie, w cieniu, a pielenie pozostawia córce i synowej. Cieszy ją przyroda. Zwierzyła im kiedyś sen, który do niej wraca także obecnie: jest w nim młoda, idzie z grabiami w pole, bierze udział w żniwach albo w innych robotach rolniczych, i to jest piękne. Przed rokiem jeszcze umiała nawlec nitkę nawet do igły z małym uszkiem, w tym roku jest nieco gorzej, woli większe ucho igielne, gdy chce uniknąć pomocy.

— Jak ja bym jeszcze chciała pracować! Mnie się śni, że kurom daję ziarno, że obrządzam w chlewie, że idę w pole — wzdycha i uśmiecha się najstarsza kobieta, z jaką udało mi się w życiu rozmawiać.

Zagroda na wzgórzu jest domem rodzinnym nie tylko dla córki i dalekich synów, nie tylko dla synowej, ale i trzynaściorga wnuków i jedenaściorga prawnucząt pani Franciszki. Synowie Pawła i Feliksy służą w lotnictwie, jeden jest majorem, drugi kapitanem. Często przyjeżdżają do matki i babci, do ciotki, tu mogą spotkać całą rodzinę, bywa, że i tę zza oceanu. Córka jednego z nich wychodzi za mąż. Babcia z przyjemnością przyjęła do wiadomości, że Tyszkiewiczówna wejdzie do rodziny Zamoyskich. W czasie moich pobytów w domu trzech kobiet nie spotkałem wcale jakiejś rodowej wyższości, zarozumiałości, uzurpatorstwa, nie, tym bardziej, że odległe dzieje z perspektywy roku 1980 wydają się zaprzeszłe i mało pewne. Naturalność babci Tyszkiewiczowej, naturalność Feliksy i wręcz manifestowany demokratyzm Wacławy Masiakowej, która najdłużej nauczała w Draganach koło Wysokiego i w Wólce pod Lublinem, są tego potwierdzeniem.

Za udział w Ludowym Związku Kobiet i tajne nauczanie otrzymała Wacława Złoty Krzyż Zasługi oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Nauczała w PRL przede wszystkim języka rosyjskiego, a jej uczniowie wygrywali nawet turnieje i olimpiady. Najświeższe w jej pamięci są jednak boje o utwardzanie żużlem drogi, to znaczy tej części ulicy Trześniowskiej, która wiedzie do wiaduktu kolejowego; walka o elektryfikację tamtej części Ponikwody, w której to walce brał także udział jej mąż Leon, wieloletni sekretarz GRN w Wólce. Pani Wacława chowa więc odznaczenia i dyplomy, one są granicą jej życia zawodowego i emerytalnego, a tu droga żużlem utwardzona trochę poprawiła ich życie i sąsiadów, zabłysło światło i odmieniło, choć tak późno, ich życie.

Znowu przypada pora, gdy babcia powinna zjeść parę kęsów, napić się mleka albo herbaty. Ona sama wspomina o rencie po mężu i dodatkach, jakie przyznano jej z powodu wieku. O rencie po Pawle mówi też synowa, o swojej emeryturze nauczycielskiej napomyka córka. Każda chce zaznaczyć, że posiada swój wkład w utrzymanie tego domu, że chleb, który zjada, jest także jej własny. Nie ma tu rezydentek, są pełnoprawne i sobie potrzebne. Chociaż synowie i córki, wnukowie i wnuczki pragną im pomagać w polskiej i obcej walucie, one nie łakomią się na te serdeczne gesty za bardzo, wystarcza swego. Radość starym kobietom sprawia powodzenie ich bliskich. To, że wnuczka Tamara Tyszkiewicz, córka owej Frani, która miała kilka miesięcy, kiedy jej ojciec ożenił się z panią Franciszką, zdobyła w 1956 roku na olimpiadzie w Melbourne złoty medal w pchnięciu kulą jako reprezentantka Związku Radzieckiego. (Jej matka, Frania właśnie, została w tym kraju w 1919 roku z powodu wielkiego uczucia, gdy rodzice po czterech latach znowu wracali do Polski) Mowa też o synach Masiakowej. O Krzysztofie, który w Bydgoszczy jest wojewódzkim konserwatorem zabytków. O Janeczce, która jest okulistką w Ostrowcu Świętokrzyskim, a jej mąż także lekarzem. O Marku mówiły mi już wcześniej każda z osobna, bo on najczęściej przyjeżdża z Warszawy, prawie w każdą sobotę i niedzielę. Jego żona jest też okulistką, sam Marek doktorem psychiatrii, docentem i dyrektorem Kliniki Psychiatrycznej Dzieci i Młodzieży w stolicy.

On to właśnie staje mi się najbardziej pomocny w rozmowach z babcią Tyszkiewiczową. Widać, że istnieje między nimi doskonałe porozumienie duchowe, psychiczne. Troszczą się o nią od lat najlepsi lekarze Lublina, ufa im, ale najbardziej właśnie wnukowi. On sam określa, że rodzina potrafiła seniorce rodu zapewnić nie tylko dobre warunki materialne, ale właśnie rzecz najcenniejszą w jej wieku, swego rodzaju komfort psychiczny. A jednak widać u niej zatroskanie. Franciszka Tyszkiewiczowa, która tyle wojen zaznała, po tym, co teraz dochodzi do niej z radia i telewizora, co z listów synów i wnuków zza oceanu, wzdycha:

— Najlepiej, żeby był spokój. To, co mamy, zjydzmy, w tym chodźmy i żeby był spokój. Żeby tak było i było, dokąd tylko żyjemy, żeby tak było...

Tadeusz Jasiński

ŚPIEWAJĄCY ARCHITEKT

— Pan pochodzi z Zamościa? — pytam Marka Grechutę.

— Tak, urodziłem się w Zamościu. Od kilkunastu już jednak lat mieszkam w Krakowie. W Krakowie skończyłem architekturę, jednocześnie tu zaraziłem się bakcylem kabaretu, bakcylem piosenki opartej na poezji, nastroju, określonym klimacie.

— Kraków i Zamość. Wiekowa architektura. Tak się składa, że oba te miasta łączy podobny, kompleksowy plan rewaloryzacji starych zespołów urbanistycznych...

— Właśnie. Ja dyplom robiłem u profesora Zina. Był to projekt DOMU MUZYKI w jednej z rynkowych zamojskich kamienic. Projekt mój adaptuje całą starą kamieniczkę wraz z podwórzem na potrzeby muzyki. Dawne podwórko zamieniłem na salę koncertową lub zależnie od potrzeb — kinową. Poza tym oprócz tej sali — kawiarnia, a właściwie piwnica muzyczna z olbrzymimi beczkami, jak z powieściowego „Potopu". Na górnych piętrach zaprojektowałem ciche, wytłumione akustycznie sale odbierania muzyki przez słuchawki. My słuchamy w

Fot. Paweł Karpiński

ten sposób płyt tylko w sklepie. Uważam, że jak się wypożycza książki, tak powinno się wypożyczać miejsca do słuchania. Mieszkałem kiedyś w tej kamieniczce, chodziłem po dziadka strychu. Znaleziono niedawno oryginalne rysunki pewnego sierżanta od generała Mareckiego. Powstała niespodziewanie szansa stuprocentowo prawdziwej rewaloryzacji właśnie tej kamienicy, ze wspaniałą attyką, zwieńczeniami, portalem...

— Mówię ze znanym piosenkarzem, a zeszliśmy na tematy architektoniczne.

— Sądzę, że dla naszej identyfikacji jako narodu, w kategoriach kultury Zamość pozostaje czymś wyjątkowym. Zresztą w kategoriach kultury światowej pozostaje jedynym zabytkiem zbudowanym w jednym stylu i tak konsekwentnie do dzisiaj zachowanym bez żadnych dobudówek. Widzi pan, ja wracam do tych architektonicznych problemów. Bardzo, bardzo dużo czasu poświęcam temu wszystkiemu, bo jest mi to niesłychanie bliskie. Dopiero teraz jako dorosły człowiek zrozumiałem, iż fakt, że się tam urodziłem i wychowałem, wpłynął nie tylko na moje impulsy wewnętrzne, ale w ogóle ukształtował mnie, moje poglądy na sztukę.

— Architektura miała więc wpływ na pana twórczość artystyczną?

— Profesor Rzymowski, śledząc moje zmagania z piosenką kabaretową, kiedyś powiedział: „Niech się pan trzyma, architekci są to ludzie, którzy wszystko potrafią zrobić, aczkolwiek niczego — dobrze". To jest mój największy kompleks, jeśli chodzi o wpływy architektury na muzykę.

— „Kultura" zamieściła kiedyś wywiad z Marylą Rodowicz, w którym artystka mocno utyskiwała na ujemne strony popularności. Piosenkarka powiedziała, że karoserie jej samochodów są kopane, opluwane, ludzie potrafią rzucać za nią obelgami. Jak to jest?

— Widzi pan, ktoś wspomniał, że ja nie śpiewam ekspresyjnie. Mnie nikt nie kopie, może dlatego, że nie wzbudzam aż takiej ekspresji. Poza tym wydaje mi się, że Maryla trochę przesadza...

— Którą ze swoich piosenek darzy pan największą miłością albo niemiłością? Czy można w ogóle mówić o miłości...?

— Można o miłości i nie-miłości. Bardzo lubię kilka moich pierwszych piosenek, które śpiewałem w kabarecie „Anawa". Między innymi piosenkę „Niepewność".

— Czy jest pan romantykiem?

— Pytanie to powinna zadać właściwie dziewczyna, mówiąc szczerze, a jeżeli pan mi je zadaje... Muszę powiedzieć, że bardzo chciałbym być neoromantykiem. Romantyzm rozumiem jako wybieganie myślami ponad własne możliwości. W tym sensie z bardzo dużą rezerwą odpowiedziałbym na pańskie pytanie.

— A mówiąc o dziewczynach... to szaleją za panem...

— Przyznam z uśmiechem, że w początkach świadomie rozkręcałem wszystko w tym celu. Potem stwierdziłem, iż to nie powinno być moim świadomym działaniem. Na pewno.

— Jest pan współautorem music-hallu „Szalona Lokomotywa", w którym odniósł pan podwójny sukces, jako autor i jako wykonawca.

— Był to dla mnie naprawdę piękny spektakl. „Szalona Lokomotywa" wzięła się z chęci śpiewania literatury. Wydawało mi się, że na pewnej metaforyzującej literaturze teatralnej, jaką stworzył Ignacy Witkiewicz, istnieje ogromna szansa zbudowania dużego spektaklu śpiewanego, poetyckiego w nastroju. Wymowa jego i artystyczne przesłanie byłoby o wiele głębsze od estradowego występu. Kusiło mnie poza tym sprawdzenie się w teatrze, zmierzenie z wielkim tekstem, z aktorami zawodowymi, specyfiką innej pracy twórczej.

— Tworząc music-hall „Szalona Lokomotywa", nie bał się pan, że powstanie muzyczny komiks z Witkacego?

— Co jak co, ale komiks z Witkacego? Nigdy w życiu. Witkacy to odwrotność wszelkiego rodzaju skrótowości.

— Pan żyje „Szaloną Lokomotywą"?

— No, jeszcze żyję, bo przecież włożyłem w nią szalenie dużo pracy. Otrzymałem niedawno telefon, że teatr z Bratysławy zainteresował się wystawieniem music-hallu ze swoimi najlepszymi piosenkarzami — Gottem i Vondrackową.

— Nie boi się pan konfrontacji z Gottem? Choćby dlatego, że Gott budzi kontrowersyjne opinie...

— Nie, on nie zna mnie, więc nie będzie miał tremy. A mówiąc już o przyszłości, to nie zamierzam odchodzić od większych form muzycznych. Przygotowuję projekt nowego music-hallu. W zamierzeniu spektakl ten nawiązywałby do architektury, od której zaczęliśmy przecież naszą rozmowę. Bohaterem byłby przewodnik po mieście, który na wzór dawnego Orfeusza odwiedzałby pewne znajome miejsca, budząc z wiecznego snu straszne maszkarony, świat zaklęty w kamienną rzeźbę. Sporo rzeczy już opracowałem. Jak się będzie nazywać całość, jeszcze nie wiem, wiązać się to będzie natomiast z pewną znaną mi i bliską architekturą.

Rozmawiał: **Jerzy Szpyra**

Kamena str. 13

TADEUSZ JEZIORSKI (1923 - 1980)

3 marca zmarł nagle w Warszawie w trakcie pełnienia obowiązków służbowych Tadeusz Jeziorski, długoletni dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego. Od 18 lat związany był z bibliotekarstwem lubelskim, aktywnie zaangażowany w sprawy rozwoju czytelnictwa i upowszechniania książki.

Tadeusz Jeziorski urodził się w roku 1923 w Kowalkach w woj. bydgoskim. Do chwili wyzwolenia pracował jako robotnik rolny. W latach 1945—1952 był pracownikiem aparatu partyjnego w Bydgoszczy, a następnie w Olsztynie i w Lublinie, gdzie pełnił odpowiedzialne funkcje. Pracując, uzupełniał swoje wykształcenie: ukończył szkołę partyjną przy Komitecie Centralnym PZPR i Wyższą Szkołę Nauk Społecznych.

Od roku 1954 związał swoje życie z Lublinem i Lubelszczyzną, początkowo jako kierownik Wydziału Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a od roku 1962 dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego. Sprawy rozwoju czytelnictwa, dotarcia z książką do jak najszerszych kręgów były mu niezwykle bliskie, zabiegał o nie nie tylko w swojej działalności zawodowej, ale i społecznej. Jako aktywny działacz Sekcji Społeczno-Politycznej Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, podkreślał znaczenie pracy z książką wśród dorosłych. Od 1964 roku był członkiem Prezydium Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej i członkiem Wojewódzkiego Zespołu Konsultantów. Tutaj zawsze służył radą i życzliwą pomocą młodym, rozpoczynającym dopiero swoją działalność społeczną i pracę popularyzatorską. Uczestniczył też w pracach Sekcji Społeczno-Politycznej i Sekcji Andragogicznej Zarządu Głównego TWP.

Jego działalność społeczna była różnorodna, pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji w innych organizacjach: Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Towarzystwie Krzewienia Kultury Świeckiej, był lektorem Komitetu Wojewódzkiego PZPR, wykładowcą w Policealnym Studium Bibliotekarskim i Studium Nauczycielskim.

Posiadał liczne odznaczenia, wśród nich: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Odznakę Zasłużonego Działacza Kultury, Odznakę za Zasługi dla Lubelszczyzny, Złotą Odznakę Zasłużonego Działacza Związkowego Zw. Zaw. Prac. Kult. i Sztuki, Złotą Odznakę Zasłużonego Popularyzatora Wiedzy, Honorową Odznakę Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich i inne.

Był także autorem publikacji związanych z organizacją bibliotek, zamieszczanych w czasopismach fachowych.

Odszedł od nas człowiek szczerze zaangażowany w sprawy rozwoju kultury naszego miasta i województwa, człowiek życzliwy i prawy. Pozostanie na długo w pamięci tych, którzy go znali i z nim współpracowali.

STEFAN WOJCIECHOWSKI (1899 - 1980)

3 marca zmarł w Lublinie dr Stefan Wojciechowski, postać tak dobrze znana w środowisku lubelskim i poza jego granicami. Do Lublina przyjechał w 1927 roku, na krótko — na dwa lata. Pozostał do końca długiego i pracowitego życia.

Studia filozoficzne w zakresie geografii i historii skończył na Uniwersytecie Jagiellońskim i tu uzyskał doktorat za rozprawę „Krajobraz dawnej Ziemi Lubelskiej w rozwoju historycznym". Pierwsza Jego praca drukowana w Lublinie w 1930 roku („Zaginione osady w Lubelskiem") również dotyczyła naszego regionu.

W okresie międzywojennym był: nauczycielem, okręgowym wizytatorem szkół, profesorem Pedagogium i wykładowcą Uniwersytetu Powszechnego im. S. Żeromskiego. Aresztowany w końcu 1939 roku i więziony na Zamku Lubelskim przez hitlerowców, szczęśliwie uniknął obozu koncentracyjnego i śmierci.

W Polsce Ludowej od razu zgłosił się do pracy w szkolnictwie i piastował kolejne stanowiska wizytatora i naczelnika Wydziału Szkół Średnich Kuratorium. Potem był kierownikiem Okręgowego Ośrodka Dydaktycznego Historii oraz wykładowcą marksizmu-leninizmu na UMCS.

W 1955 r. przeszedł do Biblioteki Głównej UMCS na kierownika Oddziału Zbiorów Specjalnych i tu zajął się w szczególności uzupełnianiem zbiorów muzycznych oraz zbiorów grafiki użytkowej. W tym też czasie ukończył najważniejszą swoją pracę — „Województwo lubelskie w drugiej połowie XVI wieku", wydaną w 1956 r., jako trzeci tom Atlasu Historycznego Polski.

Na lata te przypadają również początki Jego intensywnej działalności na polu bibliofilstwa. W 1959 roku ukazało się cenne opracowanie Jego współautorstwa „Ex-libris lubelski dawny i nowy", będące pierwszym historycznym ujęciem tego tematu. A już od 1965 r. stanął na czele ruchu bibliofilskiego jako prezes początkowo Koła Miłośników Książki i Ekslibrisu przy PTA, a później Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki.

Był Wielkim Mistrzem Kapituły i Kawalerem Orderu Białego Kruka ze Słonecznikiem, najwyższego lubelskiego odznaczenia bibliofilskiego. Na osiemdziesięciolecie swoich urodzin otrzymał od grona bibliofilów lubelskich tytuł „Bibliofila Znamienitego".

Odszedł od nas bliski nam wszystkim Człowiek, który imponował wszechstronnością zainteresowań i żywym, emocjonalnym stosunkiem do życia i wszelkich jego przejawów. Takim pozostanie w naszej pamięci!

KRONIKA KULTURALNA

■ Muzeum Narodowe w Warszawie wypożyczyło eksponaty na wystawę „Portret polski XVII i XVIII wieku", zorganizowaną w salonie WDK w Białej Podlaskiej. Na wystawie znajduje się 41 malowideł, przeważnie portretów szlacheckich (w tym dużo wizerunków rodzinnych Radziwiłłów, rodu, którego Biała była ongiś rezydencją). Autorką scenariusza i katalogu wystawy jest kustosz Muzeum Narodowego, dr Janina Ruszczycówna, zaś animatorzy kultury w Białskopodlaskiem zaliczyli kolejny duży plus w swej działalności.

■ W Lublinie istnieje jedna z większych w Polsce prywatnych kolekcji białej broni, własność majora Waldemara Skorubskiego, który do swych najcenniejszych okazów zalicza miecz z XVI wieku, szablę z okresu napoleońskiego (firmy Klingental) oraz szable francuskie z manufaktur w Wersalu i St. Etienne. Wyodrębniają się w zbiorze szable rosyjskie — tzw. Mikołajówki, Aleksandrówki, kozackie i ułańskie. Kolekcjoner niejednokrotnie musi sam dorabiać brakujące detale w swoich eksponatach, wzorując się na dawnych rycinach i okazach muzealnych. Wszelkiego rodzaju zbieractwo stwarza dziś ludziom azyl, chroniący przed szaleństwem naszych czasów.

■ Na Miejski Fundusz Odnowy Zabytków w Lublinie, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze „Kameny", napływają kolejne deklaracje. Ostatnio oddział PTTK przy lubelskiej Izbie Rzemieślniczej wpłacił 2 tysiące złotych, Lubelski Klub Kolekcjonerów przy WDK — 5 tysięcy, Zespół Szkół Zawodowych nr 10 — 10 tysięcy, Jan Denko z Nałęczowa — 200 złotych. Sprawa więc się rozkręca pięknie i można żywić nadzieje, iż lubelska Starówka kiedyś nam rozkwitnie pełną krasą.

■ Od niedawna w pomieszczeniach klubowych Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowej „Spółdzielca" przy ul. Nadbrzystrzyckiej w Lublinie spotykają się w każdy wtorek członkowie terenowego koła Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej. Organizuje się kursy języka bułgarskiego, prelekcje i spotkania, tudzież wyświetla interesujące filmy dotyczące „Kraju róż". Dla obywateli, którzy w Bułgarii nie widzą niczego poza kożuchami, jest to dobra okazja do poszerzenia światopoglądu turystycznego. Chętnych ciągle miile się przyjmuje.

■ W lubelskim Biurze Wystaw Artystycznych prezentacja dokonań trójki plastyków z Warszawy: Lidii Serafin, Waldemara Dynermana i Janusza Petrykowskiego, którzy preferują model malarstwa realistycznego, po części w nieco miałkim wydaniu. Wszak dla mniej wytrawnych odbiorców dobra okazja do odwiedzenia BWA w Lublinie, które na przeładowanie widzami narzekać nie może.

■ Trudno walczyć z modą, bo jest ona często wyrazem jakichś głębszych tęsknot nurtujących społeczność. Dziś, kiedy żyjemy w kręgu mody na secesję, dobrze się dowiedzieć, iż w lubelskim WDK czynna jest w marcu wystawa fotograficzna, poświęcona secesyjnej architekturze Lublina. Ale tylko w marcu, bo w kwietniu ekspozycję „zabiera" do siebie płockie Muzeum Mazowieckie.

ekran i widz

„Czas Apokalipsy"

JEDNYM z najciekawszych i najbardziej oczekiwanych filmów „Konfrontacji 1980" był niewątpliwie laureat Złotej Palmy na ostatnim cannes'kim festiwalu — „Apocalipse Now" znanego amerykańskiego reżysera Francisa Forda Coppoli. Tytuł ten przetłumaczono u nas dość udatnie, jako „Czas Apokalipsy".

Apokalipsą współczesnych czasów stała się dla Coppoli niedawna wojna w Wietnamie i zdołał ją reżyser w iście apokaliptyczny sposób ukazać na ekranie. Jest też ten film, niezależnie od idei dania świadectwa prawdzie o „brudnej wojnie" — przestrogą na przyszłość. Stanowi jakby złowieszcze ostrzeżenie przed przyszłymi wojnami i zagładą ludzkości. Jest wreszcie „Czas Apokalipsy" dziełem artystycznym wielkiego formatu.

Inspirowany był Coppola, w zamyśle filmu, conradowskim „Jądrem ciemności". Jego bohater w swej podróży wielką rzeką, przebijającą się przez groźną, tajemniczą, wszechogarniającą dżunglę, wkracza w kolejne, coraz niżej leżące, coraz bardziej przerażające kręgi poznania — zarówno otaczającego świata, jak i najskrytszych zakątków ludzkiej duszy. Tyle, iż rzecz się dzieje współcześnie, na pograniczu Wietnamu i Kampuczy, a podróżnik płynący w głąb jądra ciemności jest kapitanem kontrwywiadu armii amerykańskiej. Został przez swoje władze wysłany w celu wykonania misji specjalnej: ma oto zlikwidować niejakiego pułkownika Kurtza, człowieka, który, zdaniem dowództwa, „postradał rozum".

Czym się objawia owa utrata rozumu? Kurtz (doskonała kreacja Marlona Brando), zasłużony na niwie wojennej, świetny żołnierz i dowódca, wyłamał się nagle wraz z dowodzoną przez siebie jednostką spod wszelkiej władzy i przedarłszy się do Kampuczy, założył tam rodzaj własnego państwa partyzanckiego — „państwa zła". Dochodzą z owych rejonów wieści przerażające. Kurtz pali, niszczy i morduje, wprowadzając prawdziwe piekło na ziemi. Kapitan, na czele grupki zdecydowanych na wszystko komandosów, ma zabić Kurtza, aby zapobiec zagładzie.

Widz będzie teraz prowadzony przez Coppole kolejnymi etapami rzecznej wędrówki, i będzie mu danym oglądać coraz straszniejsze przykłady gwałtu, przemocy i ludzkiego zezwierzęcenia. Nie odbiegające wprawdzie od tego, co czyni Kurtz, a może nawet je przewyższające, ale dokonywane w „majestacie prawa". Amerykańskiego prawa wojny w Wietnamie. Nie wiadomo już w pewnej chwili, czy np. atak 1 Dywizji Kawalerii Powietrznej Stanów Zjednoczonych, bezlitosny atak ziejących ogniem helikopterów na niewielką wietnamską wioskę i jej doszczętna zagłada, jest wynikiem jakiegoś planu strategicznego, czy szaleństwa, które każe żołnierzom i oficerom znajdować przyjemność w mordowaniu i paleniu. Wraz z kapitanem i jego ludźmi schodzimy w głąb tego inferna i długo potem będą nam brzmiały w uszach słowa dowódcy powietrznej jednostki, gdy po ataku, z roziskrzonym wzrokiem, z wykrzywioną grymasem euforii twarzą, mówi: „Czuje pan ten zapach napalmu? Ten zapach zwycięstwa?"

Czym, jeżeli nie prawdziwym piekłem, następnym kręgiem ludzkiego zagubienia, jest owe napotkane przez podróżników kolejne wojskowe „miejsce postoju" — jakaś jednostka amerykańska, zupełnie odcięta od świata w dżungli i mająca połączenie z zapleczem jedynie dzięki helikopterom. Dowożą one tutaj ginącym powoli ludziom nie tylko amunicję, ale, na „osłodzenie" ostatnich chwil, także... zespół bigbeatowy z girlsami á la Raquel Welch. W trakcie przedstawienia rozszalały tłum mężczyzn, którzy już przestali wierzyć w powrót do domu, forsuje przestrzeń wodną dzielącą widownię od estrady, rzuca się w kierunku „artystek". Nie działają pałki żandarmów, nie pomagają strzały z rewolwerów. W ostatniej chwili zespół znajduje ratunek od... swoich w nadlatującym helikopterze.

Czym, jeżeli nie dnem inferna, jest owa kolejna, napotkana w dżungli placówka amerykańska, której żołnierze walczą, sami już nie wiedząc po co. Wszyscy oficerowie zginęli, a łączność została na stałe przerwana. Spośród tropikalnej gęstwiny padają strzały niewidzialnego, nie bardzo nawet zidentyfikowanego, ale za to wszechobecnego przeciwnika.

Przed kapitanem i jego ludźmi rozwija się wyraźniejsza z każdą chwilą panorama bezsensu owej straszliwej wojny, w której najpotężniejsza nawet technika okazuje się bezsilna wobec dżungli. W której triumfują biologia i witalność. A może po prostu: racja żywej idei, której nic nie jest zdolne pokonać?

Wreszcie: obozowisko Kurtza. Wśród porośniętych podzwrotnikowym lasem ruin przedwiecznych kampuczańskich świątyń, w oparach krwi i dymów snujących się nisko nad ziemią — monolog szaleńca, który ogarnięty został ideą wypalenia zła pleniącego się na świecie, przy pomocy zła jeszcze większego, totalnego. „Gdybym miał dziesięć dywizji takich chłopców, z jakimi pracowałem w swoich oddziałach wojsk specjalnych — zwierza się Kurtz kapitanowi, chcąc znaleźć w nim sojusznika i następcę — takich chłopców, którzy nie wahają się przed zabijaniem, jakiż porządek można by zaprowadzić na świecie"!

Kurtz zginie, zabity przez kapitana, aby rozkazowi stało się zadość. I żeby „sprawiedliwość" zatriumfowała. Kapitan wyszedłszy z ruin świątyni, cały zbroczony krwią Kurtza, nie przyjmie ofiarowywanej mu władzy; wsiądzie do łodzi i ruszy „ku swoim", roztapiając się powoli w stojącej nad rzeką gęstej mgle.

I to jest koniec filmu. Lecz nie koniec myśli reżysera. Bo czyż dopiero teraz bohater Coppoli nie zaczyna schodzić na właściwe, ostatnie dno piekła? W samą istotę rozwierającego się przed nim jądra ciemności, które leżało... nie na końcu, lecz na początku drogi? Bo przecie piekłem największym jest to, co rozpętali i czym kierują ziomkowie Coppoli i kapitana. Szalony pułkownik Kurtz jest tylko jedną z pochodnych owej działalności. Jego zło — które czyni — jest tylko złem pośrednim. Natomiast idea, jaka mu przyświeca — wydaje się sugerować Coppola — drąży odległe sztaby, które bardzo nie lubią Kurtzów działających na własną rękę.

„Czas Apokalipsy" zrobiony jest z ogromnym rozmachem inscenizacyjnym, doskonałemu obrazowi towarzyszy świetna muzyka, będąca tutaj — co uwidacznia się zresztą coraz częściej w światowym kinie — integralnym, równorzędnym składnikiem dzieła filmowego. Ale sprawa dzisiejszych relacji pomiędzy obrazem a dźwiękiem to już temat na osobny felieton. Tymczasem z niecierpliwością oczekujemy na ukazanie się „Czasu Apokalipsy" w szerokim rozpowszechnieniu.

M. D.

Kamena str. 14

Inga O. R. Ceni sobie Pani więcej ocenę, niż „ewentualny" druk. To by dowodziło skromności i autokrytycyzmu. Tego ostatniego — niestety, potrzeba Pani najwięcej i chyba na dość długo jeszcze. W tej ocenie — połowicznej przecież i wyrywkowej choćby przez to, że ocenie poddaję to, co otrzymałem — na pierwszym miejscu postawić trzeba grzech gadulstwa. Z wielu wspaniałych definicji i wyróżników poezji te są chyba najsłuszniejsze, które istoty poezji szukają w skrócie, przemilczeniu. Przy czym ilość słów niczego jeszcze nie dowodzi — wiersza nie ocenia się na łokcie. Jakże zmagał się ze słowem taki Norwid — ile tam niedomówień, pauz, myślników. W rezultacie największą przygodę przeżywa jego czytelnik przez przeżycie tego, czego poeta nie nazwał dosłownie. W Pani utworach frazy i całe zdania wielokrotnie złożone przyjmują na siebie ciężar poetyckiej kreacji, ale „uginają się" pod własnym ciężarem. Oto przykład z „Drogi": *(...) ale idziesz / cieszysz się, że możesz iść / to cudowne to wszystko / tak szybko zostaje w tyle / i nawet starzec na wpół oślepły / wracający stamtąd / gdzie skierowany jest mój wzrok / nie zmusi cię żebyś się zawahał...*

Druga groźba to mielizny treściowe. O czym pisać? W każdym razie — w początkach — strzec się trzeba tzw. wielkich tematów, jak istota człowieczeństwa („Piosenka o pierwszym człowieku"; „Modlitwa I") dobro i zło itp. Im bardziej „podniosły" temat, tym trudniejszy do ugryzienia. W szarości codziennych spraw znalazło sobie miejsce wiele poetek, jak Jasnorzewska-Pawlikowska czy — współcześniej — Małgorzata Hillar. Proszę sięgnąć po jej „Gliniany dzbanek". Jak więc w końcu oceniam załączone wiersze? Po prostu nie oceniam, a to, co tu napisałem, dotyczy tego, czego w nich nie znalazłem, a nie tego, co znalazłem. Chociaż... znalazłem. Taki fragment:

śmierci moja
jesteśmy sobie jednocześni
od pierwszego dnia
mojej nieudanej pieśni

Rym znalazł się tu chyba przypadkowo, ale mocno spina ten — wydaje mi się — dobry czterowiersz. Więcej takich.

Józef W. Bydgoszcz. Pozwoli Pan, że zaliczę Pana do klubu weteranów „Poczty literackiej". Przywilejów wielkich ten awans nie zapewnia, ale pozwala opublikować utwór w tempie ekspresowym:

I w kuźni wiedzy
ma się kłopoty,
gdy są tylko same młoty.

Świetne, ale ja bym jeszcze popracował nad tą fraszką. Usunąłbym słowo „same". Albo dałbym jej taki kształt:

I w kuźni wiedzy
pełno kłopotów,
gdy za dużo młotów.

Niczego natomiast nie trzeba, ani w ogóle nie da się przerobić w „Wodoleju":

Przemawiając kwiecieście
wypuścił liście.

Ewa Z. Lublin. „Oczywiście, jak to przeważnie bywa, rodzina patrzy na to z uśmiechem i powątpiewaniem". Niech sobie patrzy, ma do tego prawo. To prawo wypływa zapewne z rodzicielskiego lęku: czy pisanie wierszy nie przeszkadza w nauce! Ja także przyłączam się do tych obaw — historia literatury zna wiele przykładów niezdanych matur. Jeszcze kilka lat wkuwania dzieli Ciebie od tego ponurego wydarzenia. A wiersze są słabiutkie, Ewo, i nie ma nawet potrzeby tego dowodzić. A propos tych ślicznych kwiatków, którymi ozdobiłaś swój list: jak to wykonane? Bo przecież nie kredką, ani akwarelą?

Alicja K. Piaski. Jesteś dzielną dziewczyną skoro uczysz się w szkole zawodowej o tak zdecydowanie męskim fachu. Stąd moja pewność, że prędko otrząśniesz się z przeżycia o którym donosisz w wierszu „Gałązka bzu". „Tylko jedna w moim życiu miłość się liczyła". Przyjdą następne, bardziej dojrzałe. Nie odradzam pisania wierszy, zwłaszcza w okresie wielkiego pierwszego rozczarowania. Pomagają. Biała kartka i pióro stają się wtedy wiernym powiernikiem i przyjacielem.

Andrzej J. „Wiersze zacząłem pisać jakieś dwa lata temu. Początkowo nie były one udane, ale z biegiem czasu nabierałem doświadczeń". Panie Andrzeju — obecnie ma Pan 19 lat i nie podzielam zdania, że nabrał Pan poetyckich doświadczeń. Dużo jeszcze pracy i właśnie doświadczeń stoi przed Panem jako człowiekiem piszącym wiersze. Te — na razie naiwne, nijakie, bez śladu szacunku dla słowa.

Józef K. Tychy. W całym zestawie kilkunastu utworów pojawiają się motywy górnicze — czy to rezultat udziału w jakimś konkursie o tej tematyce? Jeżeli tak, to niewiele powiedział Pan o tym temacie, a motywy górnicze sprowadzają się tylko do przywoływania, nie zawsze a propos, werbalnych realiów w rodzaju: węgiel, szyb, zawał, węglowi ludzie, odpryski calizn, węglowy kombajn. Tymi na siłę wciskanymi motywami zepsuł Pan kilka dobrych wierszy, m. in. „Jeżeli jutro...".

H. P.

KRZYŻÓWKA (nr 7)

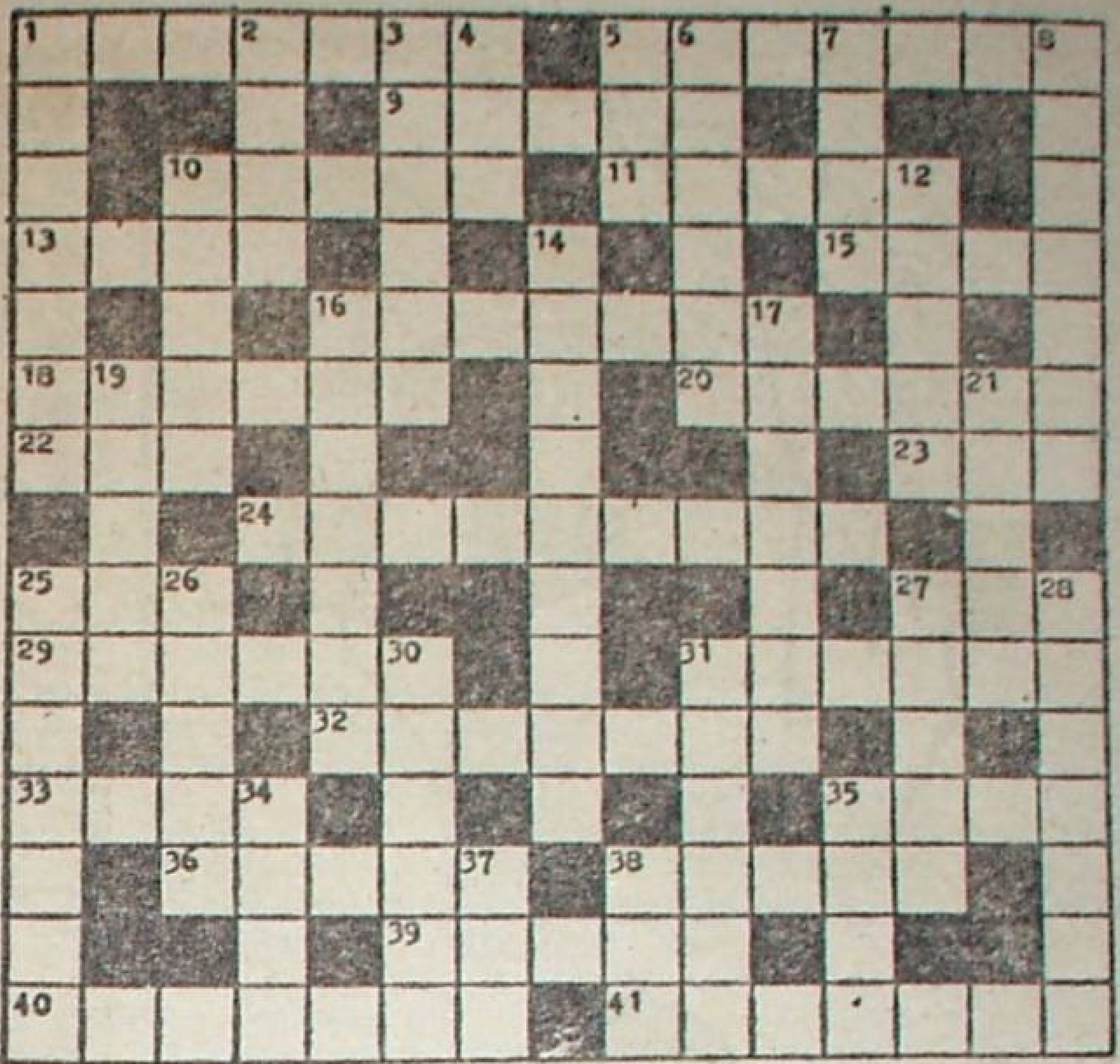

Poziomo: 1. król Aten, pogromca Minotaura, 5. recepta, 9. powieść Jorge'a Amado, 10. święte księgi islamu, 11. zespół dowodzący, 13. rzymski bóg wojny, 15. gra w piłkę na koniach, 16. dożynkowa defilada, 18. klinowy obcas, 20. utwór dużej wartości, 21. krzyżówkowa papuga, 22. panika na giełdzie, 24. kontroler, wizytator, 25. syn Noego, 27. część sztuki teatralnej, 29. otwór wulkanu, 31. napój bogów, 32. naczynie do gotowania wody na herbatę, 33. polecenie wypłaty przez bank, 35. uchylenie się od ciosu, 36. pieczeń rzymska, 38. naturalny barwnik w żółto - brązowym kolorze, 39. ukraiński taniec ludowy, 40. bohaterski lekarz i pedagog, autor książek dla młodzieży i prac pedagogicznych, 41. dodatek do mięsnego dania.

Pionowo: 1. pionowe prądy powietrzne pozwalające wznosić się szybowcom, 2. wielkie dzieło o charakterze opisowym, 3. carski generał, który krwawo stłumił rewolucję 1905 roku w Królestwie Polskim, 4. przyjaciel Mickiewicza, 5. podtrzymuje spodnie, 6. rozwiązanie małżeństwa, 7. odcinek trasy, 8. mądry król biblijny, 10. obozowa powieść Gojawiczyńskiej, 12. sanie żaglowe, 14. huta szkła w Piotrkowie Trybunalskim, 15. brzeg, koniec, 17. kończy lekcję i pauzę, 19. odznaczenie, 21. gilza, 23. konik szachowy, 26. kupił sobie oś, 27. bogini mądrości, 28. rodzaj napędu pojazdu, 30. kość osłaniająca od przodu staw kolanowy, 31. drewniane naczynie do gniecenia ciasta, 34. kłoda, 35. sprzęt wyborczy, 37. płyn z owoców lub warzyw, 38. skrajnie prawicowa organizacja we Francji dążąca do utrzymania kolonialnego panowania w Algierii.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 5

Poziomo: Gopło, szyba, Alicja, łacina, zamiec, trochej, Ebro, rodzynka, Rzeszów, Ryga, kartusz, Abelard, kino, Radunia, Saracen, ryza, netron, chwila, kolarz, Nankin, dacza, Amado.

Pionowo: marsz, Ciemnogród, Gałczyński, pączek, Zapole, Bach, katorga, wojewoda, Bartosz, Zaboreczno, znalezisko, skarbnik, ziarnko, narcyz, zasada, sauna, unia.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 5 książki otrzymują: Stefan Słomka 20-209 Lublin, Królewska 5/4, Bohdan Bieńkowski 20-335 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 13, Stanisława Gaś 95-200 Pabianice, Bugaj 74/61, Eugeniusz Tokarczyk 22-500 Hrubieszów, Polna 15/38.

Listy do kameny

UFO-VIDEO

W początkach lutego br. w Warszawie rozpoczęło działanie Międzynarodowe Biuro Badań i Ewidencji Niewytłumaczalnych Naukowo Wydarzeń — UFO-VIDEO, które nie jest organizacją, stowarzyszeniem, ani też klubem zrzeszającym członków — a Biurem zajmującym się rejestracją i ewidencją informacji, dotyczących zjawisk i wydarzeń znamiennych tym, że nie zostały one dotychczas w ogóle, czy też w zadowalającym stopniu poznane i wyjaśnione. Informacje, na interesujące tematy (po uprzednim sprawdzeniu ich autentyczności), UFO-VIDEO pozyskiwać będzie m. in. od:

- *bezpośrednich świadków takich wydarzeń;*
- *krajowych i zagranicznych środków masowego przekazu;*
- *rozbudowanej w przyszłości sieci współpracowników;*
- *jakichkolwiek innych, dostępnych źródeł informacji.*

Godnym specjalnego podkreślenia jest to, że zebrane przez siebie materiały UFO-VIDEO będzie udostępniać wszystkim zainteresowanym — bez specjalnych ograniczeń. Podobnie jak Center of Short-Lived Phenomena (Centrum Zjawisk Krótkotrwałych), działające od 1968 roku w Cambridge (USA) — również i Biuro Badań Niewytłumaczalnych Naukowo Wydarzeń będzie zbierać informacje o niezwykłych fenomenach, wypadkach i zjawiskach dziejących się zarówno w przyrodzie martwej, jak i ożywionej, a następnie przekazywać informacje o takich zjawiskach zainteresowanym uniwersytetom czy osobom, jako że jest to — z naukowego punktu widzenia — postawa bardziej uczciwa, niż odrzucanie wszystkiego bez próby zbadania faktów tylko dlatego, że nie ma ich w słowniku pojęć, które zostały wcześniej poznane i opracowane. W skład Komitetu Organizacyjnego UFO-VIDEO wchodzą m. in. panowie: Marczak, Piasecki i Brzeski z Warszawy, oraz ja.

Witold Wawrzonek
Lublin

DĘBSKI KONTRA IGNACIUK

W liście do „Kameny" (nr 4, z dnia 17.II.1980 roku) Jan Ignaciuk przedstawia się jako wybitny znawca podlaskich gwar i zabiera autorytatywnie krytyczny głos o opowiadaniach Kazimierza Niechody, jakoby „stylizowanych na gwarę ukraińską" czy „białoruską". Faktycznie pisane są — znaną mi — kresową odmianą polszczyzny, ściśle biorąc gwarą podlaską. Gdyby nie było mi wiadomo, kim jest autor listu, złożyłbym to na konto jego niewiedzy. W rzeczywistości Jan Ignaciuk jest zbieraczem - amatorem, ale w ujemnym tego słowa znaczeniu. W archiwum Muzeum znajdują się zbiory pieśni, w których to autor listu przerabia autentyczne teksty pieśni podlaskich, podpowiadając informatorom (co zostało zarejestrowane na taśmie) „właściwe słowo" lub zniekształcając zapis. I tak otrzymujemy zamiast „Marysi" — „Marusię", „biedna" zamienia się w „bidna", „sieno" w „sino", „tobie" w „tobi" itp. Nic więc dziwnego, że namawia Kazimierza Niechodę do pisania „wesilla" zamiast „wiesiela". Bardzo też rażą autora listu „nieprzystojne słowa". Chyba tylko w cudzych opowiadaniach, bo w swoich zbiorach skolekcjonował i takie jak: „w dupu zahladaty". To wszystko napisałem na podstawie materiałów folklorystycznych, nagranych i spisanych własnoręcznie cyrylicą przez Jana Ignaciuka.

Włodzimierz Dębski
Lublin

ERRARE KAW EST

Nawiązując do notatki „Zauważono" (Listy do „Kameny" z dnia 11.II.1980), mam dla Krajowej Agencji Wydawniczej kolejne zadanie. Otóż wydała ona serię dziewięciu pocztówek pt. „Zamość", w obwolucie, w nakładzie 10 tysięcy, w cenie 2 złotych itp. Obwolutę zdobią trzy kolorowe zdjęcia. Jedno z nich przedstawia najpiękniejszą bodaj kamieniczkę zamojską, mieszczącą do niedawna muzeum (ul. Ormiańska 26), opisaną jako „Fasada kamienicy Pod Św. Kazimierzem"! Nosiła ona różne nazwy, jak „Bartoszewiczowska", „Pod Aniołem", „Pod Lwami", „Pod Św. Małgorzatą", nigdy zaś „Pod Św. Kazimierzem", którego to świętego imię nosi akurat kamienica sąsiedniej, wschodniej pierzei (Pl. Mickiewicza 8). ERRARE „KAW" EST...

Andrzej Kędziora
Zamość

UCIEKŁ OD HEROD-BABY

Znane i popularne znaczki obiegowe emisji „Polski drzeworyt ludowy XV w." (1 zł, 1,50 zł wydane przez Pocztę Polską w 1974 roku oraz 4 zł, 4,50 zł z 1977 roku mają, jak się okazuje, związek z Czechami. Zgodnie z twierdzeniem V. Novaka („Filatelie"), drzeworyty te pochodzą ze zbiorów Bartosza Paprockiego i są dziełem nieznanych artystów ludowych. Zbieracz nie był Polakiem, lecz Czechem. Nazywał się Bartolomej Paprocky, a pochodził z Paprockiej Vuli. Żył w latach 1540-1614. Był ubogim szlachcicem, ożenił się z bogatą kobietą, która okazała się „herod babą", więc też Paprocky zbiegł aż na dwór królewski do Polski. Do kraju swego powrócił dopiero po śmierci swojej żony. Zajmował się pisarstwem i zbieraniem dzieł sztuki ludowej.

E. R.
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stępień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—15.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Nr indeksu 30291

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

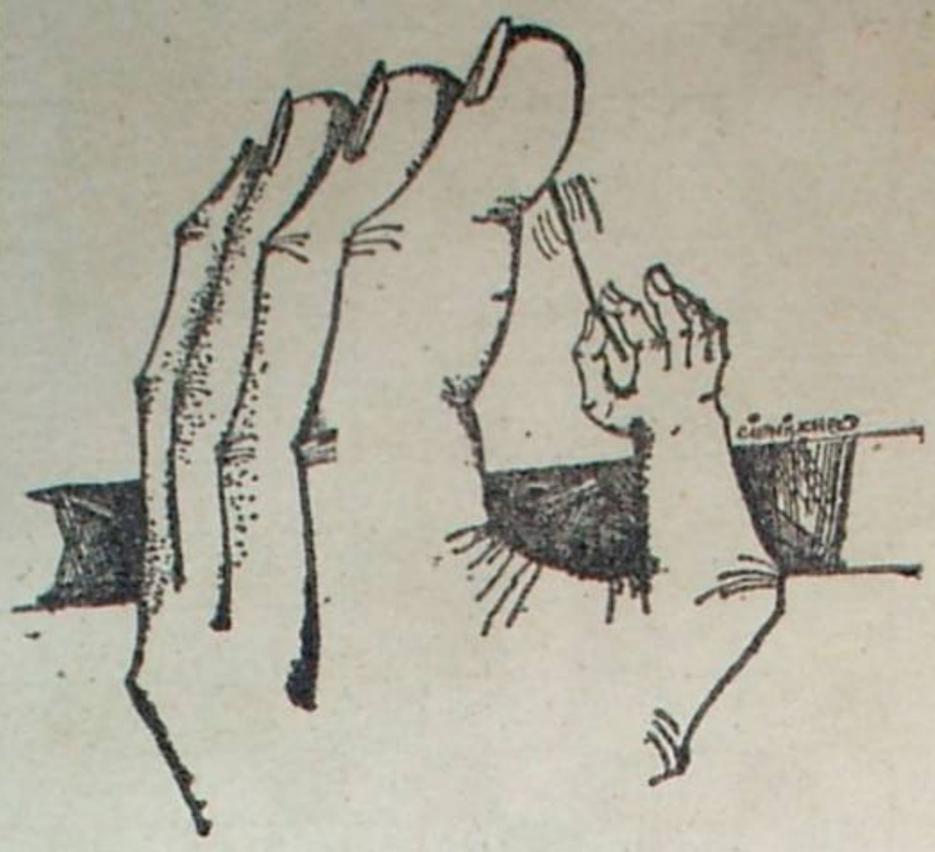

Rys. Zb. Ciesiuch

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

■ Mimo protestu opinii publicznej Lublina w sprawie budowy kramiku na Placu Litewskim, budowę prowadzono w dalszym ciągu i ostatnio doprowadzono ją do takiego stanu, że wystawiono już w kiosku eksponaty na widok publiczny. Wbrew opinii publicznej i wbrew wszelkim estetycznym względom miasta, stało się zadość ambicjom pewnych wysoko postawionych jednostek. Kramik stanął i zepsuł dziś najpiękniejszy punkt Lublina. W związku z tym nasuwa się inna sprawa. W roku ubiegłym przystąpiono do budowy stacji autobusowej na Ratuszem Lubelskim dla autobusowej komunikacji zamiejskiej. Ułożono bruk i rozpoczęto budowę budynku stacyjnego. Budynek ten, bezwzględnie konieczny, do chwili obecnej nie został wykończony. Brak podobno na wykończenie funduszów. Oto obraz planowej gospodarki miejskiej! Na kramik, który dla Lublina nie przedstawia najmniejszej wartości, ale przeciwnie, jakby na urągowisko szpeci plac, chlubiący się pomnikiem Unii Lubelskiej i płytą Nieznanego Żołnierza, pieniądze były, na budowę niezbędną dla Lublina, jaką jest bardzo ruchliwa stacja autobusowa — pieniędzy nie ma. Kto za to ponosi odpowiedzialność?

■ W miastach dbających o wychowanie młodzieży, jedno można zauważyć, a mianowicie to, że w godzinach wieczornych nie widzi się młodzieży szkolnej na ulicach. Lublin, niestety, tym pochwalić się nie może. Lubelska młodzież szkolna „godzin uczniowskich" nie uznaje. Widzi ją się na ulicy w późnych nawet godzinach, widzi się nie tylko uczniów, ale i uczennice spacerujące parami w mundurkach gimnazjalnych. Czy to jest dopuszczalne? W sprawie tej niejednokrotnie zabieraliśmy już głos, mało jednak to pomogło. A jednak dla względów wychowawczych naszej młodzieży jest to sprawa pierwszej doniosłości, zająć się tym winny dyrekcje szkół czy koła rodzicielskie. Wałęsanie się uczniów i uczennic w godzinach wieczornych po ulicy należy bezwzględnie tępić.

■ Jak wykazują statystyki Pogotowia Ratunkowego i policji, w Lublinie zwiększyła się znacznie w ostatnich tygodniach ilość wypadków spowodowanych nadużyciem alkoholu. Daje się to zauważyć zwłaszcza wśród bezrobotnych, przede wszystkim w dniach wypłacania zasiłków.

„Głos Lubelski"

Wybrała: Anna Orzechowska

WYWIESZKI

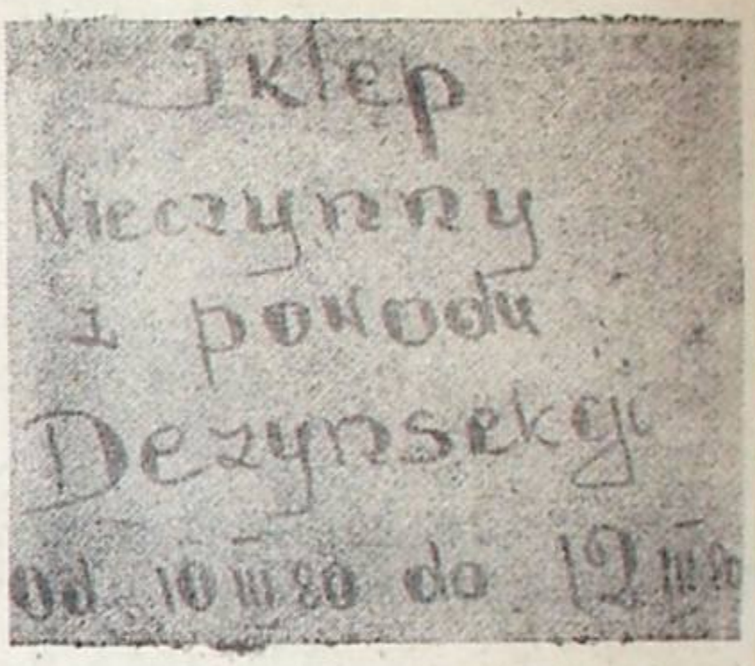

Osiedle Konopnickiej, jeden pawilon, trzy wyrzeczki.

ŻYCIE NA DWORZE (III)

Król — Słońce

Istvan Rath-Vegh

PIERWSI francuscy królowie dynastii Walezjuszy nie zwykli celebrować etykiety. Ludwik XI, o którym mówiono jak o świętym, siadał pod zwykłym dębem i tak sprawował sądy. Jednakże współczesny Karolowi V Franciszek I gorliwie współzawodniczył ze swoim rywalem, wprowadzając na dworze francuskim ceremoniał dworu Burgundii. Jego następcy udoskonalili jeszcze tę etykietę (...).

Gdy Ludwik XIV, król-Słońce o absolutnej władzy, wstąpił na tron Burbonów, ceremoniał dworski skomplikował się jeszcze bardziej, nadano mu formy wypracowane i precyzyjne. Król uważał się za słońce, wokół którego obracał się świat (...).

Cofnijmy się więc o trzy wieki i przyjrzyjmy się obrządkowi królewskiej sypialni. Jest właśnie czas, w którym Ludwik XIV budzi się zwykle ze snu — czas Levee du Roi. Wszyscy gentlemani, którym przysługuje prawo obecności w chwili, gdy król budzi się i ubiera, są kolejno wprowadzani do królewskiej sypialni. Wchodzą książęta krwi, główny szambelan, garderobiany królewski i czterech podszambelanów.

Uroczysty akt może się rozpocząć.

Król wychodzi ze swego sławnego łóżka. Umieszczone jest ono idealnie wzdłuż osi wersalskiego parku i wyznacza sam środek pałacu — słońce znajduje się w centrum nieba, więc i król powinien znajdować się w centrum pałacu i swojego dworu. Po krótkiej modlitwie następują oblucje, zwykle raczej symboliczne. Główny lokaj skrapia jedynie królewskie ręce kilkoma kroplami perfum. Pierwszy szambelan wsuwa królewskie ranne pantofle na królewskie nogi i podaje szlafrok głównemu szambelanowi, który zakłada go królowi na ramiona. Jego Majestat siada teraz w fotelu. Fryzjer królewski zdejmuje mu szlafmycę i czesze włosy, a szambelan trzyma w tym czasie lustro.

To przedstawienie może wydawać się nam nudne, ale wszystkie te szczegóły miały dla dworu w Wersalu ogromną wagę i znaczenie. Uzyskanie prawa pomagania królowi w nakładaniu rannych pantofli lub szlafroka uważano za wysokie wyróżnienie; był to przywilej, którego zazdrościli wszyscy pozostali dworzanie.

Kolejność tych porannych czynności ułożona została przez samego króla i nigdy jej nie zmieniano. Aż do siedemdziesiątego siódmego roku życia króla zawsze pierwszy szambelan nakładał mu ranne pantofle, a główny szambelan pomagał mu wkładać szlafrok. Propozycja, by jeden dworzanin zamienił się zadaniem z drugim, w ogóle jakąkolwiek sugestia zmiany porannej procedury, wskazywałaby na podejrzane, rewolucyjne skłonności.

Teraz następowała druga część Królewskiego Wstawania.

Otwierały się nagle rozsuwane drzwi, by wpuścić wszystkie osobistości o wysokiej randze i pozycji — wchodzili książęta i inni członkowie francuskiej arystokracji, ambasadorowie obcych mocarstw, marszałkowie i ministrowie Francji, najwyżsi sędziowie i najznakomitsi dygnitarze dworscy. Ci, którzy przybyli tu jedynie jako widzowie, zajmowali swe miejsca za pozłacaną balustradą, dzielącą komnatę na dwie części. Każdego ranka stawali tak w pełnej przejęcia ciszy, przyglądając się codziennemu gałowemu przedstawieniu, w którym główną rolę grał najwyższy arystokrata i najlepszy aktor Francji.

Pierwszą scenę można by zatytułować Zdejmowanie Szlafroka. Uczestniczył w niej garderobiany królewski, stojący po jednej stronie króla, i pierwszy lokaj, pomagający królowi z drugiego boku. Gdy monarcha zmieniał koszulę, ceremonia była jeszcze bardziej okazała. Specjalny dworzanin wręczył koszulę pierwszemu szambelanowi, który z kolei podawał ją księciu Orleanu, drugiemu rangą po królu. Władca przy pomocy dwóch szambelanów zdejmował nocną koszulę i nakładał tę, którą wręczał mu książę Orleanu. Wyznaczeni dygnitarze dworscy występowali teraz w określonej kolejności i ubierali króla w poszczególne części garderoby, nakładali mu buty, zapinali klamerki i przypinali wstążki orderów. Garderobianemu królewskiemu, którym był zwykle jeden z najznakomitszych książąt, przysługiwał honor trzymania niepotrzebnego już, wczorajszego garnituru monarchy, podczas gdy władca opróżniał zawartość kieszeni, by przenieść ją do nowego ubrania (...).

W ponure, chmurne poranki, gdy potrzebne było także sztuczne światło, również jednemu z widzów przypadała czynna rola. Główny szambelan pytał wówczas szeptem monarchę, komu powierzyć przywilej trzymania świecznika. Król wymieniał nazwisko jednego z obecnych dostojników, który — nadęty z zadowolenia, że spotkał go ten zaszczyt — trzymał dwuramienny świecznik wysoko w górze przez cały czas przedstawienia. Nawet system oświetlenia musiał być zgodny z zasadami etykiety. Tylko władca miał prawo używania dwuramiennego świecznika, wszyscy inni śmiertelnicy musieli zadowolić się pojedynczym. Równie ścisłe reguły dotyczyły ubioru. Król miał słabość do wyszywanych złotem płaszczy i dlatego nikomu poza nim nie wolno było ich nosić. Czasem monarcha wyjątkowo udzielał zezwolenia najbardziej zasłużonym dygnitarzom i mężom stanu na ozdobienie złotem ich ubrań. Zezwolenie wydawano na specjalnym dokumencie (...).

Ceremonia obiadu była jeszcze bardziej wyszukana. O określonej godzinie główny odźwierny zwoływał oficerów królewskiej straży przybocznej głośnym okrzykiem: „Panowie! Wzywam was do nakrywania królewskiego stołu!"

Każdy z oficerów brał wówczas tę część zastawy, która powierzona była jego pieczy, i w stronę jadalni ruszała długa procesja. Na jej przedzie kroczył główny odźwierny trzymając obrus, a za nim postępowali oficerowie straży, którym towarzyszyli z obu stron żołnierze. Uczestnicy procesji układali wszystkie przyniesione przez siebie przedmioty na kredensie, po czym wychodzili z jadalni. Samo nakrywanie do stołu było bowiem przywilejem zarezerwowanym dla innych dostojników. Gdy stół był już zastawiony, szambelan przystępował do krajania chleba. (...)

Główny odźwierny jeszcze raz wzywał teraz oficerów straży okrzykiem: „Panowie! Pieczyste dla króla!" Oficerowie formowali nową procesję, a grupa dygnitarzy dworskich udawała się w tym czasie do spiżarni, by poddać drobiazgowej kontroli rozmaite gatunki pieczystego, przeznaczonego na królewski stół. Jeden z dostojników układał potrawy na półmiskach, po czym zanurzał dwa kawałki chleba w sosie. Próbował sam jednego z tych kawałków, drugi podawał dla spróbowania smaku sosu sekretarzowi Rady Królewskiej. Wreszcie ruszała procesja, prowadzona przez odźwiernego, za którym postępował jeden z lordów z wysoko uniesioną nad głową laską. Szambelan niósł jedno danie, za nim kroczył z drugim daniem sekretarz Rady Królewskiej, trzecie dzierżył nadzorca kuchni, a dalsze wnosili inni dworzanie. Po obu stronach każdego z uczestników tej procesji szli żołnierze straży z bronią na plecach.

W chwili gdy procesja ze swym drogocennym ciężarem docierała do jadalni, meldowano królowi, że obiad został podany. Sześciu szambelanów, z których każdy był przedstawicielem arystokratycznego rodu, czekało u stołu. Jeden z nich krajał mięso, drugi podawał talerze, trzeci stawiał talerz przed monarchą. Gdy władca pragnął się napić, podczaszy krzyczał głośno: „Napój dla króla!", po czym klękał na chwilę przed nim i spieszył ku kredensowi, gdzie mistrz królewskiej piwnicy wręczał mu tacę z dwiema kryształowymi karafkami. W jednej było wino, w drugiej woda. Podczaszy jeszcze raz klękał u królewskiego stołu, podawał tacę szambelanowi, który nalewał kilka kropli wina do własnego kieliszka i po wychyleniu kielicha oddawał tacę podczaszemu. Dopiero teraz, po odprawieniu wszystkich tych czynności, król mógł wreszcie zaspokoić pragnienie.

Podobna ceremonia powtarzała się przy wszystkich kolejnych daniach.

Cały dzień pełen był ceremonialnych obrządków. Gdy wreszcie monarcha udawał się wieczorem na spoczynek, odbywało się nowe przedstawienie, zbliżone do uroczystości Królewskiego Wstawania, lecz odgrywane w odwrotnej kolejności. Wieczorem jednak czekało władcę dokładniejsze mycie. Podawano mu ręcznik zawieszony między dwiema złotymi tacami. Część tego ręcznika była mokra, a część sucha. Król przemywał twarz i ręce mokrą częścią ręcznika i wycierał suchą. Na tym toaleta się kończyła. Nie trzeba dodawać, że także prawo podawania królowi—Słońcu ręcznika uważane było za ogromny splendor, przyznawano je tylko książętom z monarszej rodziny. (...)

Skomplikowany rytuał sprawiał, że na dworze niezbędna była ogromna liczba służby. W samej tylko kuchni pracowało 448 kucharzy, którym z kolei podlegali liczni pomocnicy. Za tą pozorną ekstrawagancją kryła się jednak również zimna kalkulacja. Na wspaniałym dworze pysznego monarchy był człowiek, który zachował chłodną głowę wśród tego przepychu i bluchiru. Był nim minister finansów, Colbert. Wpadł on na genialną myśl obłożenia podatkami nie tylko soli i mąki, lecz także ludzkiej próżności. Wyznaczył więc ceny na wszystkie dworskie przywileje i posady — od ośmiu tysięcy franków za godność głównego kucharza do półtora miliona za wysoką godność majordomusa. By te niego wątpliwe transakcje ustrakcyjnić, płacono co roku odsetki od sum wniesionych przez każdego z dostojników, którzy kupili sobie stanowisko. Ponieważ dostojnicy ci dobrze zdawali sobie sprawę, że nigdy nie ujrzą swoich pieniędzy, szukali innych sposobów odzyskania wpłaconych forsu. Ich wpływowe pozycje dawały ku temu wiele przeróżnych okazji.

Tłumaczył:

Ryszard Bańkowicz („Oko")